NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. | Kraków, 22 stycznia 1910. | Nr. 4.

Janina Borowska przed sądem.



Szereg zdjęć z procesu Borowskiej.

Janina Borowska przed sądem.

Tydzień już minął od chwili, gdy przed trybunałem krakowskich sędziów-obywateli stanęła Janina Borowska, pod zarzutem ciężkim, strasznym, przygnębiającym, pod zarzutem zbrodni skrytobójczego morderstwa. A rok właśnie dobiega, jak ta sama Janina Borowska w tej samej sali oskarżała redaktora *Naprzodu* o obrazę czci.



Janina Borowska.

Zmieniły się więc role w tym czasie. Oskarżony w poprzednim procesie, dziś jest widzem i sprawozdawcą dziennikarskim, oskarżycielka z tamtego procesu, zajęta dziś jego miejsce, a jej żarliwy z owego czasu obrońca, adwokat dr. Lewicki, w grobie od siedmiu miesięcy. Ale nietylko rola Borowskiej inna. I ona sama niepodobna do Borowskiej z przed roku. Dziś to ruina człowieka, ruina kobiety, chodzący trup. Chora od dłuższego czasu, zdenerwowana do najwyższego stopnia, pożółkła i wychudła, robi wrażenie wprost przykre już samym wyglądem. Pozostał jednak umysł jasny, trzeźwy i z niezwykłą przytomnością na sytuacyę patrzący, pozostała energia i siła woli, niezwykła inteligencya i wymowa — to, co i w poprzednim jej procesie zdumiewało.

Pełne cztery dni, od środy do soboty ubiegłego tygodnia włącznie, trwało przesłuchanie oskarżonej przez przewodniczącego, nadradcę Błonarowicza. W ciągu tego przesłuchania rozpatrzono najdokładniej, z ogromną skrupulatnością i dokładnością, krótkie, ale obfite w momenty bardzo dramatyczne, dzieje znajomości i stosunku Borowskiej ze ś. p. Lewickim. Od chwili poznania się tych dwojga ludzi, aż do chwili śmierci jego. Punkt kulminacyjny zeznań Borowskiej wypadł na sobotę popołudniu. W ciągu przeszło trzygodzinnego przesłuchania, opisała przebieg tragicznej, a tajemniczej nocy z 4 na 5 czerwca z. r., tej nocy, w której ś. p. Lewicki życie postradał.

Z wielką konsekwencyą, niezrażona niepomyślnymi dla siebie wynikami śledztwa, przedstawiła Borowska śmierć Lewickiego jako samobójstwo, przeprowadzając swój opis tragedyi z wielką logicznością i ścisłością.

Wielkie zainteresowanie wzbudzały też zeznania oskarżonej o stosunku do męża, dra Maryana Borowskiego. A wzbudziły nietylko zainteresowanie ale i współczucie dla tego człowieka, który choć wiedział tak wiele o swej żonie, choć czuł swą ogromną krzywdę, przebaczał. który i teraz wierzy w niewinność swej żony i chce jej bronić.

Więc nie dziw, że rozprawa sądowa, w czasie której omawia się najtajniejsze dzieje chorych dusz, budzi niesłychane, niepamiętne wprost zaciekawienie, że publiczność ciśnie się i chętnie znosi niewygody, byle tylko zobaczyć bohaterkę nieszczęsnej tragedyi i wysłuchać jej obrony.

Nie zawsze jednak ta publiczność zachowuje się z należytą powagą. Sensacyjny jest ten proces niewątpliwie, ale jego sensacya bardzo bolesna, bardzo smutna. Słusznie też podniósł przewodniczący trybunału, nadradca Błonarowicz, że powaga i spokój powinny cechować rozpatrywanie tej sprawy. Powagi strzeże też czujnie p. Błonarowicz, czem zyskał sobie ogólne uznanie. Pisma krakowskie i zamiejscowe, nawet wiedeńskie, podziwiają mistrzow



Regina z Grzesiewiczów hr. Tyszkiewiczowa.



Z sali sądowej podczas rozprawy przeciw Janinie Borowskiej (X). (Zdjęcie aparatem redakcyjnym).

skie wprost prowadzenie zawikłanej rozprawy i podnoszą zgodnie wielki takt i spokój przewodniczącego.

Ten sam spokój cechuje zachowanie się oskarżyciela publicznego, prokuratora dra Marowskiego. Natomiast żywioł polemiczny, bardziej wybuchowy, reprezentują adwokaci dr. Szalay, obrońca oskarżonej i dr. Kłębkowski, zastępca rodziny ś. p. Lewickiego. Przyszło też już kilkakrotnie w ciągu rozprawy do ostrych, nawet gwałtownych starć między nimi.

Ława sędziów przysięgłych spełnia swój ciężki obywatelski obowiązek z wielką sumiennością. Ale bo mają oni rozstrzygnąć sprawę niezwykle tajemniczą, mają rozstrzygnąć los kobiety, jeśli winnej, to bardzo nieszczęśliwej, a jeśli niewinnej, to jeszcze nieszczęśliwszej. Bo mają rozsądzić jedną z najbardziej zawikłanych zagadek psychologicznych, jedną z zagadek, pełnych tajemnic i niejasności. Przysłuchiwali się też z ogromną uwagą słowom oskarżonej, starając się nie uronić nic z tej wielkiej spowiedzi, słuchają z uwagą i zeznań świadków, aby wyrobić sobie na tej podstawie własne a stanowcze przekonanie.

Trudne jest również zadanie sprawozdawców dziennikarskich. Trudne, a nie mniej odpowiedzialne. Relacyi ich oczekuje każdego dnia żądna sensacyi publiczność, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jak ciężkie są warunki pracy w sali krakowskiego sądu przysięgłych. Przy niewielkim stole. musiało się ich aż ośmiu pomieścić, prócz sprawozdawców krakowskich dzienników, także korespondenci *Słowa Polskiego* i *Biura korespondencyjnego*. Dla sprawozdawców pism zagranicznych ustawiono osobny stół po drugiej stronie sali.



Zdjęcie z procesu Borowskiej przeciw *Naprzodowi*. 1. ś. p. dr. Lewicki; 2. oskarżony red. Haecker; 3. świadek Bakaj.



Dr. Maryan Borowski, mąż oskarżonej.

Sprawa Borowskiej jest istotnie dziś sensacyą światową. Nie ma pisma, nie ma dziennika, któryby nie podał więcej lub mniej dokładnego sprawo-



Ława sędziów przysięgłych.

zdania o dotychczasowym przebiegu procesu. Bardzo szczegółowo zajmują się tą sprawą i pisma wiedeńskie, z których kilka przyniosło również illustracye, do tej sprawy się odnoszące, a wykonane na podstawie zdjęć fotograficznych *Nowości illustrowanych.*



Woźny sądu Majtyka, odbiera od publiczności bilety przy drzwiach sali, prowadzących do miejsc rezerwowanych i dziennikarskich.

Rozprawa toczy się wobec bardzo licznej publiczności, która z niezwykłym zapałem spieszy do sali sądowej, choć szczupłość miejsca a stąd i ograniczona bardzo liczba biletów wstępu, nie wielu tylko osobom pozwala osobiście śledzić tok postępowania. Trudne więc było stanowisko szefa krajowego sądu karnego dra Pogorzelskiego, który większości zgłaszających się po bilety wstępu osób, musiał ich odmówić; mimo to ścisk wśród publiczności jest każdego dnia ogromny i niemal cudem nazwać można, iż obeszło się dotąd bez nieszczęśliwego wypadku.

Od poniedziałku odbywa się przesłuchanie świadków. Wśród tych ogólne zaciekawienie skupiło się przedewszystkiem na osobie hr. Tyszkiewiczowej, która w tragedyi z 5 czerwca z r. od grała bardzo doniosłą rolę. Ś. p. Lewicki bowiem zapoznawszy się bliżej z p. Tyszkiewiczową, powziął zamiar poślubienia jej i dążył w celu przeprowadzenia tych zamiarów do uzyskania rozwodu z pierwszą żoną. Jasną jest też rzeczą, że w czasie tym musiały pójść w kąt inne miłostki Lewickiego, a między temi i Borowska. I tu zdaje się leży zawiązek tragedyi. Borowska była indywidualnością zbyt silną, by mogła biernie znieść tego rodzaju obelgę. Sponiewieranie jej uczuć, może szczerych i serdecznych, wywołało w tej chorej duszy reakcyę bardzo silną. Cierpiała wskutek obojętności Lewickiego, nachodziła go często, swą miłością go wprost prześladowała. Ale na twardy charakter Lewickiego to narzucanie się Borowskiej wywierało wprost przeciwny skutek. On dążył do zerwania z nią wszelkiemi siłami i głosił to wobec wielu osób. Borowska wiedziała o tem i tem bardziej pragnęła Lewickiego. Szukała też bodaj pozorów, byle tylko mieć sposobność i okazyę do zbliżenia się doń, byle spędzić z nim chwil bodaj kilka.

Wszystko na darmo. Widoczne było, iż Lewicki zamierza na prawdę zmienić tryb życia, że chce stworzyć sobie ognisko rodzinne. Ale przy tem ognisku nie było miejsca dla Borowskiej. Kto inny miał je zająć. Przeznaczono je p. Tyszkiewiczowej.

Osobie tej nie były tajne stosunki Lewickiego z Borowską. Owszem, wiedziała o nich dość dokładnie. Prosiła też Lewickiego i ostrzegała, by miał się przed nią na baczności, ze względu na gwałtowny charakter Borowskiej.

Mimo tych ostrzeżeń sprawa skończyła się bardzo smutno, bardzo tragicznie dla Lewickiego.

Zeznania hr. Tyszkiewiczowej rzuciły bardzo charakterystyczne światło na cały dramat oraz na jego bohaterów. Słuchano ich więc z ogromnem napięciem, bo nie tylko przysięgli, nie tylko trybunał, ale i ogół publiczności zrozumiał i ocenił ich doniosłość. Nikomu nie było tajne, że przed sądem stanęła wówczas osoba, której przypadła bodaj czy nie najważniejsza, choć bierna rola w dramacie tajemniczym, że może jej pojawienie się na widowni, spowodowało takie a nie inne rozwiązanie.

Poprzednio słuchani świadkowie, dr. Dobrzański, koncypient adwokacki i Kosiński, artysta dramatyczny, mniej doniosłe złożyli zeznania. Scharakteryzowały one tylko stosunek Lewickiego do Borowskiej, zimny a nawet wprost niechętny w ostatnich tygodniach jego życia.

Na postać Borowskiej rzuciły dużo światła zeznania p. Wacławy z Wójcickich Rydzewskiej. Borowska bowiem w czasie pobytu w Krakowie, gdy toczył się proces przeciw *Naprzodowi* i gdy zawiązał się stosunek bliski między nią a Lewickim, mieszkała w domu pp. Wójcickich, rodziców tego świadka. W tym czasie miała sposobność p. Rydzewska, wówczas jeszcze niezamężna, poznać bliżej charakter Borowskiej, miała też sposobność przypatrzeć się stosunkowi Lewickiego do Borowskiej.

I sama powierzchowność świadka tego i jego zeznania, wywarły na ogół korzystne i sympatyczne wrażenia. Bo p. Rydzewska, osoba przystojna, pięknie zbudowana, ma w sobie dużo uroku kobiecości, dużo wdzięku i szczerości. Jest to typ kobiety, jaki najchętniej się widzi, kobiety prawdziwej, oddanej domowi, mężowi, dziecku, dalekiej od przesadnej emancypacyi lub niezdrowej egzaltacyi.



Andrzej Bylicki.

Zeznania p. Rydzewskiej dotyczyły tylko pierwszej fazy stosunku ś. p. Lewickiego z Borowską, w jesieni 1908 r., a były przeważnie zgodne z tem, co na ten temat opowiadała oskarżona. Stwierdziła ona, iż w tym czasie odwiedzał Lewicki często Borowską w jej mieszkaniu, spędzając czas na wspólnej lekturze poważnych książek. Wiedziała też p. Rydzewska, że u Borowskiej zbudziło się uczucie ku jej obrońcy.

W rozprawie przeciw Borowskiej nastąpiła we wtorek przerwa. Oskarżona bowiem, wyczerpana kilkudniowym wysiłkiem, podtrzymywana rozmaitymi narkotykami i środkami pobudzającymi dość silnie uległa ostatecznie tak silnemu osłabieniu, iż okazała się konieczność przerwania rozprawy przynajmniej na dzień jeden.

(Ciąg dalszy na str. 15).



Janina Borowska w czasie przesłuchania na sali sądowej; obok jej pielęgniarka, Ludwika Kamińska.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

6 (Ciąg dalszy).

Te ostatnie słowa przeraziły mnie niewymownie. Zdawało mi się, że nadchodzi ma ostatnia godzina. Wzrok mój, utkwiony w twarzy Joe Duncana, musiał wyrażać jakąś szaloną rozpacz, gdyż oprawca mój przysunął do łóżka fotel i siadając w nim wygodnie, rzekł mi:

— Uspokój się, drogi Jonatanie!... To dla twego dobra... Nie będzie to nic bolesnego... Będę tylko musiał włożyć ci na oczy okulary. To dla bezpieczeństwa, gdyż ręka może mi zadrżeć.

Zaczął sam zadawać sobie pytania i na nie odpowiadać, domyślając się bez trudu powodów mego niepokoju.

— Pytasz się, do czego to wszystko ma służyć? Jest to nadzwyczaj proste. Będziemy musieli się wkrótce rozstać, Jonatanie. Nie będzie to na długo, nie można jednak ani na chwilę nawet tracić korzyści z tego sposobu życia, jaki u mnie znajdujesz już od miesiąca. Zapewne zobaczysz niezadługo swą córkę Ewelinę, będziesz musiał bywać w świecie, że tak powiem, z otwartą twarzą!... A nie można za bardzo liczyć na swe szczęście!... To, że Marcadian nie poznał cię podczas swej pierwszej wizyty, nie dowodzi wcale, że zbytecznem jest przedsiębranie środków ostrożności!... Nie można dopuścić, by Ewelina lub ktokolwiek inny poznał się... Nie można, by ci się przyglądano prosto w nos czy tutaj w Paryżu, czy też w Bostonie!... Twarz twoja musi być na tyle rażąca, iż musi odpychać od siebie wejrzenia wszystkich, kto znał Barrabasa... jak również i tych, kto będzie miał interes do Brentana!... Rozumiesz teraz? Z tego też powodu myślałem początkowo o czarnej ospie lub o wilku!... Ponieważ jednak natura nie przychodzi nam na pomoc, musimy więc my przyjść z pomocą naturze!... Zaraz się przekonasz!

Bambu powrócił z garnkiem, po który chodził... Joe rozpakował ostrożnie obie paczki, które przywiózł z Paryża. Pierwsza zawierała jakiś płyn, który wylał do przyniesionego naczynia... W drugiej była wata hygroskopijna i jakaś maść... Wskazując na pierwsze, rzekł z dyabelskim uśmiechem:

— Oto zło!

Potem, pokazując drugie:

— A to lekarstwo!

I dodał szyderczo:

— Kto powie, że ja nie jestem opatrznością, która, jak nas uczono, gdyśmy byli mali, nie dopuszcza zła, nie dając zaraz i lekarstwa na nie!

Niespokojnego swego wzroku nie spuszczałem z niego... Nic jeszcze nie rozumiałem... Nie mogłem zrozumieć... Nie śmiałem zrozumieć!

— I cóż ty — uniósł się — nie pojmujesz jeszcze mego planu?... Powiedz, chcesz, czy nie chcesz,, by twa córka Ewelina wyszła za mąż za mego syna Williama? Czy nie chcesz posiadać od tej chwili sto pięćdziesiąt milionów dolarów?... Czy wolisz stać się na nowo Barrabasem, leżeć jutro w więzieniu, zniesławić siebie, Polidora i Ewelinę, jednem słowem być nieszczęściem dla siebie i wszystkich? Wybieraj!...

Powieki moje ani nie drgnęły.

— Zresztą — mówił dalej — nie przyznaję ci prawa wyboru... Znam swój obowiązek i muszę dokonać planu, jaki sobie ułożyłem i od którego nic mnie nie odwiedzie...

Zawołał na Bambu:

— Garnek i pędzel, prędko!... Trzymaj mego przyjaciela mocno za uszy... by nie zrobił nam jakiego głupstwa... Tak, dobrze, kolanem na piersi, doskonale!

Zdawało mi się, że oszaleję... Negr całym swem ciężarem gniótł mi piersi... nad sobą widziałem jego wstrętną, czarną twarz o białych oczach i czułem jak jego stalowe palce wpijają mi się w głowę przy uszach...

Ostrożnym ruchem Joe zbliżył do mej twarzy tajemniczy pędzel... Wyjaśnił wreszcie.

— I cóż strasznego! jest to tylko witriol, nic więcej!... Niech ci się zdaje, że Łucya Weill, którą opuściłeś w przeddzień obiecanego ślubu!... mści się teraz, jak to zwykle czynią porzucone kobietki!... I poco tyle hałasu o taką drobnostkę... Prawda, że nie miałeś jeszcze czasu na to małżeństwo... z nią jednak byłoby gorzej... Ja dokonam tej pracy, jak skończony artysta... To tylko dla twego dobra!... Nie ruszaj się!... Dokonamy tylko gównej rzeczy... Na wyp. dek, gdyby ręka ma zadrżała, oczy swe masz zabezpieczone okularami!... Jest to nieprzyjemna chwila, ale tylko chwila!... Myśl o Ewelinie, kochany Barrabasie!... Myśl o stu pięćdziesięciu milionach dolarów, które są twą własnością, Brentanie!... Masz dowód mego dobrego serca i dobrej woli!... Okaż ją i ty, mój stary przyjacielu Jonatanie!...

... Szalałem! Zdawało się, że oszaleję z bezsilnej wściekłości! Oblany witriolem!... Joe Duncan, milioner chce mnie spalić witriolem!

— — — — — — — — — — —

Język ognisty przypiekł mi czoło!... Myślałem, że mózg mi pęknie, że oczy wyskoczą z swych orbit!... Pędzel smarował mi policzki.... Cały potok śliny i żółci rzucił mi się w usta... Język mój nabrzmiewał, puchł... stawał się w podniebieniu tak wielkim, jak całe me ciało! Ciało me zamieniło się w język!... W jakiemś strasznem pomieszaniu zmysłów językiem odbierałem wszystkie wrażenia!...

...Nie znam sposobu opisu reportera irlandzkiego, który z zamiłowania do swego zajęcia, znosił wszystkie tortury wieszania!... Ja tyle tylko mogę powiedzieć, że przy trzeciem dotknięciu pędzlem mego niezwruszonego kata, wyczerpany z sił, bez żadnych myśli, bez wrażenia nawet na te straszne męki, zemdlałem.

IX.

Jesień, jest to pora roku, którą dla jej czaru melancholijnego, zacierającego w nas wspomnienia żarów letnich, najbardziej lubię. Jest to jakby lekcya, na której uczymy się poznawać próżność różnych zapałów młodości życia, podobnej do pięknego lata bez owoców. Tego roku jesień o bladem niebie, zamierającem słońcu i łagodnej temperaturze była cudowna... Była to jesień rekonwalescencyi, w której zbierało się siły, by przetrzymać zimę... Mój powrót do zdrowia postępował wolno, monotonnie... Mogłem teraz rozmyślać spokojnie o swem strasznem położeniu. Stanąłem wobec faktu tak nieodwołalnego jak śmierć Gabryeli. Nie można już było naprawić zbrodniczego zamachu Joe Duncana, którego ja stałem się ofiarą. Byłem zeszpecony na zawsze, patrząc jednak na to po odrzuceniu wszelkiej czułostkowości z dodatniej strony, byłem gotów przyznać, że Joe działał, jak to chętnie twierdził, tylko dla mego dobra! Przez cały czas mej rekonwalescencyi Joe był dla mnie jak najgorliwszy, najuważniejszy i najczulszy przyjaciel... Nie pozwalał, by najemny człowiek zmieniał mi bandaże... Ręce miał delikatne jak siostra miłosierdzia; okazywał mi poświęcenie bez granic, zdradzał prawdziwie złote serce!... Nie mogłem wahać się co do wyboru między nim, a lekarzem, jakiego dla pozoru zawezwał. Doglądania Joe Duncana, mego oprawcy, były mi tylko przyjemne!...

Lekarzowi przedstawił całą awanturę na swój sposób, a ja temu nie przeczyłem. Opowiedział mu, że z powodu zerwania małżeństwa, zapowiedzianego na jutro, opuszczona Łucya Weill tak się na mnie zemściła. Lekarz westchnął jak na zawołanie i potwierdził:

— Ach! te historye z kobietami!... To okropne!

W sześć dni po zamachu, to jest gdy silna gorączka, która mnie trzymała w łóżku, opadła, Joe zawezwał mego szwagra, Marcadiana. I jemu opowiedział tę samą historyę, która zarazem czyniła bardzo prawdopodobną ucieczkę Łucyi. Dzięki tym wszystkim ostrożnościom i łącząc wszystkie wypadki razem, Joe i uncan odrazu zdołał usunąć wszelkie podejrzenia, jakie mogłyby się zrodzić u zainteresowanych co do zniknięcia tej dziewczyny. W ten sposób zabójca stawał się zupełnie bezpiecznym a ja przez swe milczenie zmuszony byłem służyć mu za wspólnika.

Marcadian nie mógł dość wyrazić swego oburzenia z powodu tej podłości Łucyi i współczucia dla mnie. Pytał się, czy mam zamiar wnieść skargę do sądu na tę Łucyę Weill... i ofiarował swoje usługi. Swą ciężką głową, obwiązaną jak mumia bandażami, kiwnąłem przecząco. Joe zaraz wytłómaczył:

— Taka była ma pierwsza myśl. Nie zwierzyłem się z nią jednak swemu przyjacielowi Jonatanowi Brentano, który przy swej wielkości duszy, swą osobistą zemstę poświęcił, za co jestem mu wdzięczny, dla dobra mego syna i pańskiej uroczej siostrzenicy!... Podobna skarga poruszyłaby w następstwie dawne brudy, w złem świetle postawiłaby w oczach Eweliny Williama i narobiłaby każdemu wiele przykrości... a w gruncie rzeczy poco to to wszystko? Dla platonicznego zadowolenia Jonatana, który otrzymałby za całą satysfakcyę skazanie takiego potworu!... Przytem jeszcze trzeba zwrócić uwagę na to, że sąd przysięgłych jest bardzo względny na występki z miłości!... Czy to wszystko naprawiłoby zeszpecenie mego drogiego przyjaciela?... Ja osobiście jestem za zemstą, że zemstą do ostateczności... ustąpiłem jednak wobec próśb i łagodności Jonatana! Oswobodziliśmy się wreszcie wszyscy od tego potworu i pewni jesteśmy, że nigdy już go nie zobaczymy... Uciekła!... Niech ucieka!

Szwagier mój przytakiwał tylko temu, tak jasnemu tłomaczeniu. Wydawał się bardzo zadowolonym z tego postanowienia. Ścisnął mnie z wdzięcznością za rękę i rzekł uroczyście.

— Master Brentano, pan jest bohaterem!

Jego przesada, jak się potem okaże, miała pozory prawdziwości. Zwrócił się do Joa:

— Zawiadomię zaraz o tem pańskiego syna, Williama...

— Nie potrzeba! — przerwał milioner — William poddaje się łatwo wrażeniom i łatwo znajdzie powody, by pomścić Brentana!... Nie potrzeba go pobudzać do robienia nowych głupstw... Niech pan pamięta, drogi mecenasie, że tu chodzi o dobro pańskiej siostrzenicy... Tak Brentano jak i ja dbamy o nie bardzo!... Czyż nie tak, Jonatanie?

Znowu potwierdziłem. Ten bandyta Joe miał jakiś specyalny dar, iż okazywał się każdemu pomocnym!... Błyszcząc ciągle przed naszemi oczami staraniem o nasze dobro, zmierzał prosto do swych nieprzeniknionych celów!...

Mówił dalej:

— Z zawiadomieniem o tem Williama poczekajmy na zupełne wygojenie mego przyjaciela... Oni sami porozumieją się!

Marcadian przyznał mu słuszność i jeszcze raz ścisnął mnie bardzo serdecznie za rękę.

— — — — — — — — — — —

Gdy po raz pierwszy wstałem z łóżka, Joe, który w swych staraniach o mnie był ciągle jednakowo czuły, podprowadził mnie do okna, oblanego słońcem... Park wydał mi się smutnym, drzewa ogołocone z liści zamarłemi, kląby bez kwiatów spustoszonemi... Bambu, negr, który przykładał rękę do mych tortur, zamiatał aleje zasypane zeschniętymi liśćmi... Jak stary przyjaciel, który zasyła pozdrowienie, kiwnął mi na powitanie głową.

Podczas swej rekonwalescencyi często widywałem Bambu, ani razu jednak nie spotkałem drugiego negra Dżima, świadka zabójstwa Łucyi Weill... O nieobecność jego zapytywałem naiwnie Bambu, lecz za każdym razem odpowiadał mi swem wiecznem:

— Pfiut!... Przepadł jak zaczarowany, panie!... Pojechał jak Łucya!...

Nie miałem najmniejszego zamiaru przypominać Joe Duncanowi tej krwawej nocy, ani wyciągać go na zwierzenia, które mnie przerażały... Joe zas zachowywał o tem głębokie milczenie. Dla szczęścia Eweliny byłem gotów wszystko znieść... Zniknięcie Dżima i Łucyi były to fakty już dokonane i nic na nie nie można było poradzić, jak i na śmierć mej ukochanej żony Gabryeli, jak i na me zeszpecenie!...

Dnia tego, lekarz zdjął ze mnie ostatecznie wszystkie bandaże... Powracał on ciągle do swego ulubionego frazesu o złośliwości kobiet:

— Ach! te historye z kobietami!... Będzie pan o tem pamiętał przez całe życie!

Pierwsze lustro, w którem z przerażeniem mogłam ujrzeć swą straszną twarz, przyniósł mi Joe. Teraz, gdy już przyzwyczaiłem się do swej odrażającej brzydoty, nie sprawia to już na mnie takiego wrażenia... Przysięgam jednak, że w tej chwili lustro zadrżało w mej ręce! I ta głowa szympansa to ma być moja głowa! ta twarz, w której niema nic ludzkiego, ta twarz zjedzona przez jakiś ohydny czerwony liszaj, to moja twarz!... Ta skóra pomarszczona, pozwijana, jakby wymoczona w soku porzeczkowym to jest moja skóra!... I taki dopiero, budząc wstręt w każdym, mogę żyć spokojnie bez obawy poznania!...

Trzęsąc się cały, oddałem lustro Joe Duncanowi; przez jakąś jednak łączność między żalem za utraconą na zawsze własną twarzą, a pewnością, że będę żył spokojnie, nie mogłem powstrzymać się od wyrażenia spojrzeniem swemu katowi pewnej wdzięczności, którą on zaraz zrozumiał i od której cały rozpromieniał... Wypłacił sam honoraryum doktorowi... Jak tylko lekarz wyszedł po wielu ukłonach, podszedł do okna i starannie je zamknął. Potem zadzwonił na Bambu, który przyniósł nam herbaty i pudełko cygar. Wybrał mi z nich jedno, napełnił filiżankę i wsypał cukru... Następnie usadowił mnie w fotelu z troskliwością, jaką tylko matka może e

kazać swemu słabemu dziecku, siadł z drugiej strony stolika, położył na nim swą rękę, ozdobioną pierścionkami i zaczął mówić z pewnem namaszczeniem:

— Teraz mój przyjacielu, nie mamy ani minuty do stracenia!... Za pół godziny będzie tu William!... W jego ręce oddaję cię aż do zupełnego wyzdrowienia... Przewiezie cię do swego domu zdrowia...

Wyskoczyłem z fotelu.

— Ja u lekarza psychiatry!... W domu zdrowia! — przeraziłem się...

— Zawsze wszystko niepotrzebnie przesadzasz! odrzekł łagodnie Joe... U swego przyszłego zięcia... w jego przyjacielskim domu... gdzie będziesz mógł nawet lepiej służyć moim zamiarom i swoim niż tutaj... Uspokój się, Barrabasie!... Od dziś za dwa lub trzy miesiące William poślubi już twą córkę, Ewelinę. Miej więc cierpliwość, Brentano! Za cztery miesiące będziemy w Nowym Jorku i ty będziesz miał pewne prawo do stu pięćdziesięciu milionów dolarów, które zupełnie legalnie powrócą do ciebie... By jednak odgrywać odpowiednio i bez żadnych przeszkód wobec mego syna rolę zmarłego wspólnika, muszę cię przedtem poinformować o prawdziwej historyi prawdziwego Brentana!... Bardzo mi przykro, niezwykle przykro, mój przyjacielu, że muszę trzecią osobę wtajemniczać w podobne sprawy, mam jednak do ciebie najzupełniejsze zaufanie... Jak ty nie upadniesz pod ciężarem mej strasznej tajemnicy, tak ja zdołam zachować do śmierci twoją.

Podsunął ku sobie butelkę z likierem...

— Kieliszek na pokrzepienie sił... Będziemy ich potrzebowali!...

Wypił dwa, jeden po drugim, zapalił cygaro i bawiąc się pierścionkiem, ozdobionym wielkim brylantem najczystszej wody, zaczął w te słowa, jakby chciał odrazu obudzić moją ciekawość:

— Muszę ci naprzód powiedzieć, że William Duncan nie jest moim synem!

Nie poruszyłem się... Postanowiłem nie okazywać żadnego zdziwienia.

Mówił dalej:

— Gdy poślubiłem Nelly Burlington, rodem z Nowego Orleanu, to nie dla jej majątku, który był bardzo mały, lecz raczej dla jej piękności, która była powszechnie podziwiana... Byłem młody... i za wspólnika miałem Jonatana Brentano z Bostonu, który był również młody, miał tylko więcej ode mnie pretensyi do rozsądku... Przekonasz się zaraz do czego służy w życiu rozsądek. Brentano rzekł mi: „Duncan, robisz zły interes, poślubiając Nelly Burlington... Dla dobra naszej spółki nie powinieneś żenić się z Nelly“. Wiedziałem, że Brentano jest pewnego rodzaju psychopatą, którego wszystkie władze duchowe zwrócone są do jednego celu, a mianowicie do założenia i do ugruntowania trustu papierowego, do którego zaczęliśmy się dopiero przygotowywać. Był to człowiek bez rodziny, o niezwykłej zdolności do pracy, obojętny na wszystko, co nie odnosiło się do jego obojętnych planów. Odpowiedziałem mu: „Jonatanie! ja poślubię Nelly Burlington... Jeżeli to wzbudza w tobie jaką nieufność, jestem gotów podpisać nowy kontrakt naszej spółki. Mogę zgodzić się na to, iż w jakimkolwiekbądź wypadku, czy się rozejdziemy w przyszłości, czy też pozostaniemy razem jak teraz, będziesz miał zawsze prawo w każdej chwili, kiedy tylko ci się podoba, do połowy zysków z trustu papierowego, obecnie przez nas zakładanego!“ I ten dziwny kontrakt został podpisamy... Poślubiłem Nelly Burlington a Jonatan Brentano nie przestawał dzięki swej niestrudzonej pracy i głębokiej znajomości rzeczy rozszerzać naszego interesu. Trust przyjął rozmiary, jakie pan zna!... Byłem najzupełniej szczęśliwy z Nelly Burlington i z Jonatanem... Nelly dała mi syna, którego do chrztu trzymał Jonatan i którego nazwaliśmy Williamem.

Joe zatrzymał się, wypił znowu kieliszek likieru i dodał do swego opowiadania taką uwagę:

— Nie wiesz może o tem, że w Ameryce cudzołóstwo jest niezwykle rzadkie... lub przynajmniej daleko rzadziej się trafia niż u was... W każdym razie nie patrzymy na to z tej śmiesznej i żartobliwej strony, jak wy to lubicie czynić...

Zaciągnął się cygarem i mówił dalej poważnym, nie nadającym się do śmiechu, tonem:

— Dopiero po dziesięciu latach... rozumiesz, po po dziesięciu latach, spostrzegłem, że Jonatan Brentano, mój przyjaciel i spólnik, utrzymuje stosunki z mą żoną, urodzoną Nelly Burlington! Zupełnie przypadkowo wpadła mi w ręce korespondencya obojga kochanków... w której nie oszczędzili mi najmniejszego szczegółu o swej wzajemnej ku sobie namiętności... i z której dowiedziałem się, że mój syn, mały William, jedyne dziecko naszego małżeństwa i, które miało wówczas osiem lat, było owocem ich cudzołożnych stosunków.

Joe znowu uczynił przerwę, wypuścił z ust kłęby dymu cygarowego i spokojnie już ciągnął dalej:

— Domyślam się łatwo, do jakich ostateczności posunąłby się człowiek waszej rasy i waszego usposobienia, gdyby odkrył tak przykrą dla siebie rzecz! Wiem, do jakich wybryków jest zawsze zdolny Francuz!... Ja, Joe Duncan, obywatel amerykański, nie zdradziłem się wcale ze swemi uczuciami wobec Nelly... Jonatan Brentano był w tym czasie



Ostrożnym ruchem Joe zbliżył do mej twarzy tajemniczy pędzel.

w podróży w sprawach trustu w San Francisco, a mianowicie, by nad brzegami Pacyfiku założyć trzy nowe fabryki... Przygotowałem odrazu swe walizy i pojechałem do niego... Sprawy jednak pokierował on tak wspaniale, że zaraz po przyjeździe zapomniałem o istotnym celu mego przyjazdu. Nie miałem przytem zamiaru wywoływać niepotrzebnego skandalu!... Jonatan wyraził mi w powrocie chęć zatrzymania się przy wodospadzie Niagary... Był on wielkim amatorem cudów natury... i chociaż podróż dla przyjemności nie bardzo mi się podobała, zdecydowałem się towarzyszyć mu. Czekałem ciągle na odpowiednią chwilę, by mu wszystko powiedzieć... Postanowienie me było stanowcze... Przez ciągłe powtarzanie nauczyłem się na pamięć przemowy, z jaką miałem się do niego zwrócić... Chciałem się do niego zwrócić... Chciałem mu powiedzieć: „Jonatanie! Koniecznem jest, bym ja się rozwiódł, a ty poślubił Nelly, ponieważ kochacie się od dziesięciu lat!... Niesprawiedliwością byłoby, bym ja przywłaszczał sobie miłość waszego dziecka, które matka jego przez hipokryzyę sprowadziła z prawdziwej drogi... Klęską byłoby jednak, byśmy z powodu sentymentów mieli rozrywać spółkę, która aż do tej pory dawała tak wyśmienite rezultaty“!... Muszę ci dodać, że nasz kapitał zakładowy w owym czasie dosięgał pół miliarda. Na nieszczęście jednak, głupi, nieszczęśliwy wypadek w górach, przeszkodził mi w wyrażeniu tych myśli Jonatanowi... Pewnego wieczoru Brentano poszedł na jakieś urwisko nad przepaścią, z której nikt nigdy nie wyszedł żywy, podziwiać wspaniały zachód słońca. Tam dostał zawrotu głowy i stoczył się w wodne odmęty wodospadu, tak iż nawet na ślad jego ciała nie można było natrafić!...

Joe oparł przy tych słowach obie ręce na poręczach fotelu i spojrzał mi bystro w oczy. Musiał zapewne przeczytać poprzez szkła mych okularów niewiarę w mych oczach, gdyż zaczął zaraz mówić dalej z jakimś dzikim uśmiechem:

— Tak... tak... odgaduję twoje myśli!... jak odgadłem myśli Nelly Burlington, mej cudzołożnej żony, która po powrocie mym do Nowego Jorku zrzuciła maskę i oskarżyła mnie wprost o zamordowanie jej kochanka!

Wzruszył ramionami.

— Co za korzyść miałbym z kłamania tobie? Słuchaj dalszego ciągu mego opowiadania, które jest najzupełniej szczere, na co daję ci słowo. Przypuszczasz słusznie, że życie wspólne było nie do zniesienia!... Sam pierwszy żałowałem śmierci ojca Williama... tego ośmioletniego dziecka, które zmuszony byłem wychowywać, jakby ono było mojem... Oddaliłem je z domu i wysłałem do Bostonu... a matka jego umarła w sześć miesięcy potem...

— Ach! — przerwałem mimowoli, nie mogąc ze wzruszenia chwycić oddechu, pani Duncan również...

— O! śmierć jej była prawie naturalną...

— Prawie?

— ...To znaczy, że popełniła ostatnie głupstwo... i nie chcąc przeżyć swego kochanka otruła się arszenikiem.

— Ach!... Ach!...

— Zdajesz się mnie nie rozumieć!... W idyotyczny sposób powtarzasz swoje... ach!... ach!.. Mówię ci, że się sama otruła... przypuszczam więc, że nie możesz chyba mnie podejrzewać o jej otrucie!... Wiesz, mój niedołęgo, że masz teraz taką samą minę zdumioną i głupią, jak w ów wieczór, ten pamiętny wieczór, gdyś wołał do mnie w kuchni: „Zabiłeś Łucyę Weill!“ Ach! jakiś ty śmieszny i dziwny!

Na pokrzepienie sił, jak mówił, wypił jeszcze jeden kieliszek likieru.

— Wobec tego los Williama?... poddałem...

— Teraz właśnie cała sprawa... — westchnął z komiczną żałością Joe Duncan — przybiera kierunek trochę tajemniczy... Słuchaj mnie teraz uważnie, mój przyjacielu!... Przed wymierzeniem sobie sprawiedliwości...

— Jak mówisz?

— Przed wymierzeniem sobie sprawiedliwości... jakże u dyabła chcesz, bym ci mówił?... Nelly Burlington w przystępie swej egzaltowanej dumy oznajmiła mi: „Ja cię nienawidzę, nienawidzę ze wszystkich sił, ty, zabójco Jonatana i synowi swemu zapiszę nienawiść do mordercy jego ojca... W tym celu złożyłam w kasie Oil Banku pewnego rodzaju testament, który zostanie oddany Williamowi po jego dojściu do pełnoletności, a w którym czynię szczerą spowiedź swego życia i twego!

— Rozumiem!

— Nie! nie rozumiesz wszystkiego!... i ja, Joe Duncan, najbardziej w tem zainteresowany nie wiele więcej od ciebie!... Pozwoliłem Williamowi, by kończył swe nauki w Bostonie i wcale nie zajmowałem się tem dzieckiem, które nie było mojem, choć nosiło me nazwisko!... Mogłem dzięki listom, które mi wykryły całą prawdę, wszcząć proces... i pozbawić go nazwiska Duncana... Lecz, jak już ci powiedziałem, nienawidzę bezcelowych skandali!...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Żywcem pogrzebani.

Zabudowywanie miejscowości, pod którymi znajdują się kopalnie, względnie kopanie szybów pod miastami, niejednokrotnie było już powodem strasznych katastrof zapadnięcia się poszczególnych domów a nawet całych ulic. Ludzie wiedzą o tem, z jakiem niebezpieczeństwem połączone jest stawianie domów a częstokroć i olbrzymich gmachów na gruntach podkopanych, mimo to jednak tłoczą się jak śledzie na miejscach będących centrami przemysłu, bo powstawanie wielkich miast związane jest już niejako siłą faktu z ośrodkami fabrycznymi i przemysłowymi.

Wieść o katastrofie szybko przemija a poszukująca zarobku masa ludzka szybko zapomina o tem, że mieszka, żyje i pracuje na miejscu podminowanem, mogącem śmiało być porównanem z wulkanem, który chwilowo przycichł, ale każdej chwili grozi nowym wybuchem.

Nawet najdalej idące środki ostrożności nie są w stanie zapobiedz katastrofie w chwili, gdy woda podmyje podkopane grunta, tak jak to miało miejsce dnia 8 b. m., w małem miasteczku Karyntyi, w Rabel, gdzie w południe koło godziny wpół do pierwszej nagle otworzyła się z hukiem ziemia na przestrzeni koło 100 metrów i pochłonęła budynek szpitalny wraz z znajdującemi się w nim osobami.

Wstrząśnienie, jakie towarzyszyło tej katastofie, sprawiło wrażenie na mieszkańcach miasteczka Rabel,



Żywcem pogrzebani: Akcya ratunkowa na miejscu katastrofy w Rabel.



Generał-gubernator na przejażdżce: Powóz gen.-gub. Skałłona w Alejach Ujazdowskich.



Żywcem pogrzebani: Ogólny widok miejsca katastrofy w Rabel w Karyntyi. Za potokiem szyb, z tej strony potoku otwór w ziemi, w którym zniknął szpital.

jakoby nastąpiło trzęsienie ziemi. Przeraźliwy huk oznajmił złowieszczo, że walą się domy. Domownicy opuścili zajmowane przez się mieszkania, a górnicy, którzy pracowali w tym czasie pod ziemią, na odgłos przerażającego huku i wstrząśnienia, które dało się odczuć i w szybie miejscowej kopalni ołowiu, z przestrachem rzucili się do ucieczki w boczne korytarze szybu.

Gdy przerażenie i chwilowa panika minęła, oczom

Akcya ratunkowa, którą zaraz popołudniu tego samego dnia podjęli pionierzy, jacy przybyli z Celowca, polegała na wypompowaniu wody z lejka, który utworzył się na miejscu zapadniętego szpitala. Celem zapobieżenia ewentualnej katastrofie wstrzymano pracę w szybie i opróżniono wszystkie domostwa, stojące w pobliżu miejsca, gdzie zapadł się szpital. Ściany wielu domów zarysowały się tak silnie, że dachy groziły zawaleniem.

wojskowych, nie może się ukazać na mieście bez honorowej eskorty wojskowej, która otacza jego powóz. Zwyczaj ten przestrzegany bywa zarówno w czasie urzędowych wyjazdów jakoteż i podczas przejażdżek dla przyjemności. Konwój stanowią zazwyczaj Kozacy lub Czerkiesi, których oryginalne



Żywcem pogrzebani: Rozpadlina, w którą zapadł się budynek szpitalny, wypełniona wodą.



Nowy ambasador austryacki w Rzymie: Kajetan Merey.

ogarniętych trwogą mieszkańców przedstawił się straszny widok. Szpital miejscowy zniknął z powierzchni ziemi a na miejscu tem utworzyła się kotlina, która zwolna poczęta się zapełniać po brzegi wodą. Nikt nie śmiał zbliżyć się do rozpadliny z obawy, że ziemia za chwilę pocznie usuwać się dalej. Mimo, że wraz z budynkiem szpitalnym zostało żywcem zagrzebanych siedm osób, między którymi znajdował się także lekarz szpitalny dr. Wessely wraz z żoną i paromiesięcznem dzieckiem, nikt nie myślał o ratowaniu ofiar katastrofy, albowiem kto z żywcem zagrzebanych nie zginął pod gruzami walącego się budynku, ten utonął w napływającej następnie wodzie.

Co do przyczyny katastrofy, to z początku sądzono, że wywołał ją wystrzał dynamitowy w jednym z chodników szybu. Dalsze dochodzenia stwierdziły jednak, że katastrofę wywołał potok, przechodzący w pobliżu miejsca strasznego wypadku. Woda zdołała przesunąć pokład szutru, na którym stał szpital i spowodowała zapadnięcie się ziemi na znacznej przestrzeni.

Aby zapobiedz ponownej katastrofie, pionierzy i robotnicy pracują nad przesunięciem łożyska groźnego potoku.

Generał gubernator na przejażdżce.

Dla mieszkańca Galicyi, który przyzwyczajony jest do tego, iż najwyżsi nawet dygnitarze pojawiają się na miejscach publicznych bez wszelkiej asystencyi, dziwnym się wydaje zwyczaj, praktykowany w Rosyi. Wedle tamtejszej etykiety żaden z dostojników, czyto dworskich, cywilnych, czy

stroje i wschodnie typy stanowią przedmiot podziwu dla przejezdnych, nader chętnie zwiedzających Warszawę. Wedle rangi dostojnika normuje się także i liczbę eskortujących, których część postępuje z przodu i tyłu pojazdu, część zaś go otacza.

Illustracya nasza, którą podajemy według nadesłanej nam fotografii, przedstawia generał gubernatora warszawskiego Skałłona, w czasie przejażdżki w Alejach Ujazdowskich, tem ulubionem miejscu spacerowem Warszawiaków. Przejeżdżającemu orszakowi obowiązani są ustępować z drogi wszyscy, którzy go spotykają.

Nowy ambasador austryacki w Rzymie.

Z końcem roku ubiegłego nastąpiła zmiana na stanowisku ambasadora austryackiego w Rzymie. Dotychczasowy ambasador hr. Henryk Lützow, akredytowany przy dworze włoskim 18 marca 1904 r., został mianowany dożywotnim członkiem Izby panów a na miejsce jego został desygnowany Kajetan Merey, który w marcu b. r. obejmie służbę



Żywcem pogrzebani: Lekarz szpitalny dr. Vessely wraz z żoną i kilkumiesięcznym synkiem.



Messyna w rok po

na tak ważnym posterunku, jakim jest stanowisko ambasadora przy dworze włoskim.

Kajetan Merey, wstąpiwszy do służby dyplomatycznej jako magnat węgierski, zrobił w stosunkowo krótkim czasie wspaniałą karyerę. Z posterunków, jakie dotychczas zajmował, należy wymienić Belgrad, Bukareszt i Konstantynopol, gdzie, jako znawca stosunków bałkańskich, zdołał się wybić swemi zdolnościami, taktem i rozumem politycznym. Po ustąpieniu Gołuchowskiego był jednym z wymienianych przez dzienniki kandydatów do fotelu ministra spraw zagranicznych, mimo że liczy dopiero 40 lat.

Prasa włoska wiadomość o mianowaniu Merey'a ambasadorem w Rzymie przyjęła nader życzliwie, a w monarchii austro-węgierskiej spodziewają się po Merey'u, że zdoła między sprzymierzonymi Włochami a Austryą przywrócić stosunki, oparte na faktycznej przyjaźni i wzajemnem popieraniu swych interesów.



Chrzest Chińczyka w Krakowie: 12-letni Chińczyk Kaing-ba ze swymi opiekunami bratem, Ludwikiem Muzalewskim ze zgromadzenia XX. Misyonarzy i ks. Janem Rzymełką, dyrektorem zakładu ks. Siemaszki.

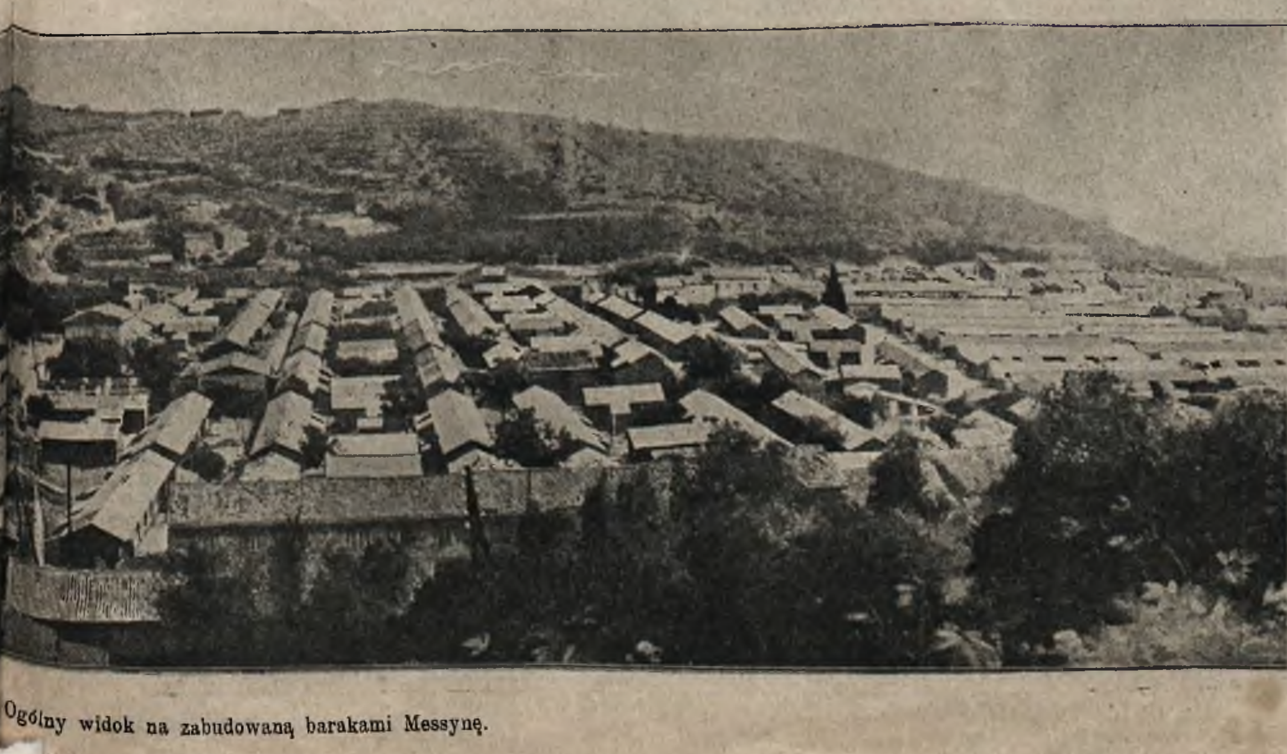
Messyna w rok po katastrofie.

Upłynął rok od czasu, gdy Messyna runęła w gruzach, grzebiąc pod nimi setki swych mieszkańców. Upłynął rok od czasu, gdy większość mieszkańców nieszczęśliwego miasta utraciła całe swe mienie, wszystko i wszystkich, którzy byli im drodzy i bliscy. Na gruzach po otrząśnieciu się ze strasznych wspomnień, rozpoczęli ci, co pozostali i ocaleli, mrówczą pracę, aby odbudować swe domostwa. Tysiące biedaków dziś jeszcze tuła się na gruzach bez dachu nad głową, bo rząd włoski, aczkolwiek dużo pieniędzy wydał na doraźną pomoc dla ofiar katastrofy, musiał jednak w dalszym ciągu pozostawić tych nieszczęśliwych łasce opatrzności i samym sobie.

W ciągu roku część miasta została już zabudowana, druga część leży jeszcze w gruzach, zwiedzana licznie przez cudzoziemców. Zabudowana na nowo część miasta przedstawia oryginalny widok. Małe i niskie domki, budowane w formie pawilonów, mają na celu zabezpieczenie w przyszłości mieszkańców przed podobnymi skutkami katastrofy, jaka miała miejsce w ubiegłym roku.



Zgon zacnej obywatelki: Śp. Wilhelmina Nemetzowa.



Ogólny widok na zabudowaną barakami Messynę.



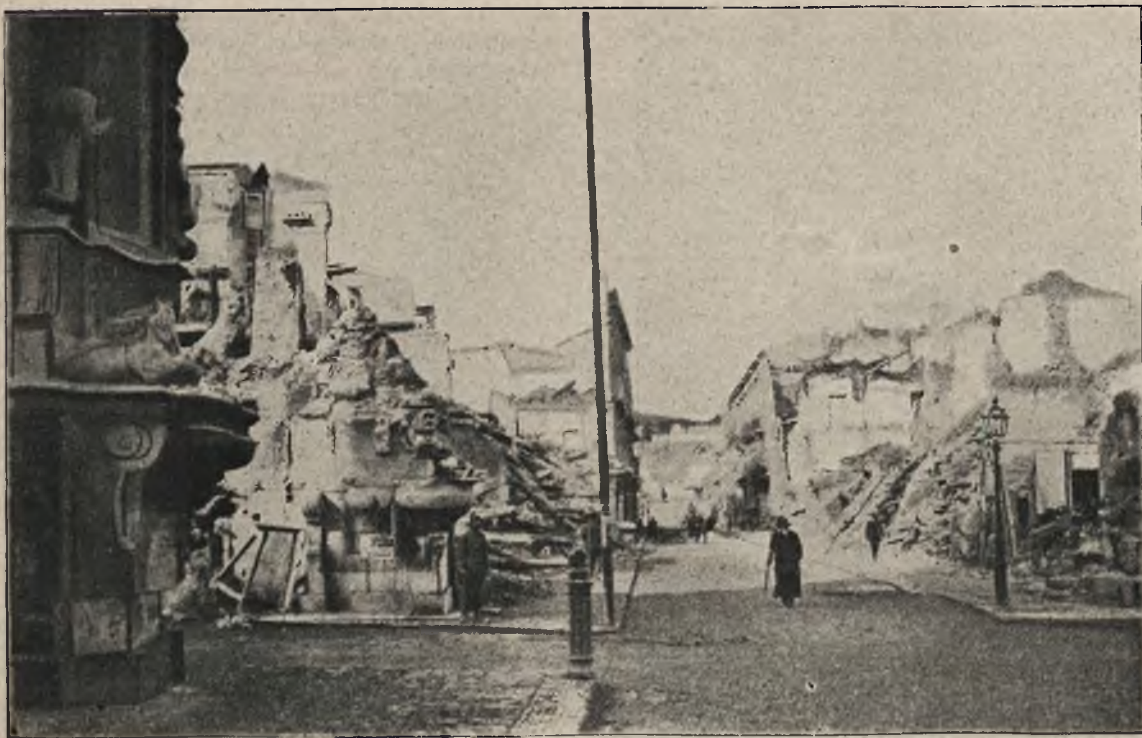
Zgon znanego lekarza: Zmarły w Krakowie lekarz Dr. Henryk Sokołowski.

Nowy generał-gubernator Finlandyi.

Prasa rosyjska niejednokrotnie podnosiła już alarm, że w Finlandyi przygotowuje się ruch niebezpieczny, zagrażający całości imperyum rosyjskiego. I obecnie jesteśmy świadkami podobnego alarmu, który wydał już realne skutki, bo oto rząd petersburski wystąpił z szeregiem wniosków, będących niejako kontynuacyą dotychczasowej polityki Rosyi wobec Finlandyi.

Ze strony przedstawicieli armii rosyjskiej zażądano odłączenia gubernii wyborskiej od wielkiego księstwa finlandzkiego. Krok ten motywowano tem, że granica kraju nie może być oddalona o 60 km. od stolicy państwa, w której znajdują się najważniejsze arsenały i zapasy wojenne. Ponadto Finlandya ma otrzymać wojsko rosyjskie, podczas gdy rekruci z Finlandyi mają służyć w guberniach wewnętrznych cesarstwa. Budżet Finlandyi ma zostać obciążony kwotą 20 milionów rubli na rzecz ogólnych wydatków wojskowych. Niekorzystną również dla wielkiego księstwa Finlandzkiego ma być nowa taryfa, która utrudnia znacznie wywóz towarów finlandzkich do Rosyi.

Do przeprowadzenia tych wniosków desygnowany został generał F. A. Seyn, jako generał-gubernator wielkiego księstwa Finlandzkiego.



Messyna w rok po katastrofie: Jedna z głównych ulic zniszczonej Messyny.

Zgon znanego lekarza.

I znów nieubłagana śmierć zabrała człowieka, który długie jeszcze lata mógł pracować dla dobra społeczeństwa. W Krakowie zmarł dnia 12 stycznia b. r. znany i powszechnie szanowany i ceniony lekarz, dr. Sokołowski, specyalista chorób skórnych i wenerycznych.

Urodzony w Tarnowie, w r. 1854, po ukończeniu gimnazyum św. Anny w Krakowie, wstąpił na uniwersytet Jagielloński, gdzie uzyskał dyplom doktora wszech nauk lekarskich. Poświęciwszy się specyalnie studyom nad chorobami skórnemi i wenerycznemi, pełnił długie lata obowiązki asystenta przy ś. p. profesorze Rosnerze, jednając sobie swem fachowem wykształceniem i taktownem obejściem uznanie swego przełożonego, słuchaczów medycyny i tysięcy pacyentów, którzy zawsze odnosili się do niego z ogromnem zaufaniem. Zalety serca i umysłu, któremi się śp. zmarły odznaczał, sprawiły, że tak między kolegami zawodowymi, jak i wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa cieszył się ś. p. dr. Henryk Sokołowski powszechną sympatyą, uznaniem i popularnością. Pełnił także obowiązki pierwszego sekundaryusza przy krajowym szpitalu św. Łazarza i asystenta prof. Pareńskiego, a „Przegląd lekarski“ pomieszczał wiele jego cennych prac.

40-letni jubileusz lwowskich handlowców.

Jednem z najstarszych stowarzyszeń we Lwowie jest Towarzystwo buchalterów i subjektów handlowych. Założone w r. 1869 objęło swą działalnością wszystkie sfery i wszystkich pracujących w kupiectwie, a 40-letnie istnienie i ciągły rozwój, świadczą najlepiej o pożyteczności tej organizacyi.

Z drobnej stosunkowo kwoty 14 K, jaką składają członkowie rocznie na rzecz stowarzyszenia, zdołała organizacya zebrać pokaźny fundusz, z którego wdowa może otrzymać znaczniejszą zapomogę, chory zasiłek i leki, pozbawiony zajęcia zapomogę na czas szukania pracy, a szereg starców emeryturę, wynoszącą przeciętnie 240 K rocznie.



Nowy generał-gubernator Finlandyi: Gen. F. A. Seyn.

Zamożniejsi chętnie zrzekają się świadczeń na rzecz uboższych współkolegów, którym w ciągu czterdziestolecia wypłacono już dziesiątki tysięcy z kasy stowarzyszenia.

Z roku na rok rośnie stowarzyszenie w liczbę członków, wśród których myśl organizacyjna znalazła już dostateczne zrozumienie. Wydział stowarzyszenia poczynił już starania, aby półwiekowy jubileusz mogli lwowscy handlowcy obchodzić we własnym domu.



40-letni jubileusz lwowskich handlowców: Wydział i członkowie stowarzyszenia buchalterów i subjektów handlowych.

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

4

Wkrótce jednak Eleonora znowu zajęła mnie sobą; dostrzegłem, że zdołała już zapanować nad sobą, choć nie w tym stopniu, co jej kuzynka; szła ciężko, a ręka jej, oparta na ręce Grysa, drżała silnie.

„I po co ja zostałem wmieszany w tę sprawę“ — przyszło mi na myśl, lecz jednocześnie wdzięczny byłem losowi, że właśnie ja, a nie kto inny wysłuchał tych znaczących słów. Poddałem się tym myślom, gdyśmy powoli schodzili po schodach; wreszcie znaleźliśmy się w sali, gdzie już nas dawno oczekiwano z łatwo zrozumiałą niecierpliwością. Gdy zająłem znowu swe miejsce, wydało mi się, że przynajmniej już kilka lat upłynęło od chwili, kiedy opuściłem tę salę. Tak wiele serce ludzkie może znieść i doświadczyć w przeciągu kilku zaledwie minut.

VII.

Mary Lavenfort.

Komuż nie zdarzyło się doznać wrażenia, jakie wywiera promień słoneczny, przedzierający się przez czarne chmury burzy? Taki skutek wywołało zjawienie się dwóch przepięknych panien w sali, gdzie odbywało się badanie. W każdem towarzystwie musiałyby zwrócić uwagę ogólną, a w tym pokoju widok ich stanowił jeszcze większy kontrast z otoczeniem, niż w jakiemkolwiek innem miejscu. Podprowadziłem swą towarzyszkę w sam róg sali, poczem spojrzałem na jej kuzynkę — ku memu zdziwieniu jednak miss Eleonora, która wydawała się tak zmieszaną i przestraszoną na górze, teraz była zupełnie spokojną i pewną sibie. Pod rękę z ajentem przeszła na środek sali, tu zatrzymała się, obrzuciła wzrokiem obecnych, grzecznie choć z pewną dumą skłoniła się Koronerowi, dając ten sposób poznać, iż jest on zaledwie cierpiany w tym domu i siadła na krześle, które podsunęła jej skwapliwie służba. Wogóle zachowywała się swobodnie, jakgdyby znajdowała się w salonie, a nie przed Koronerem i przysięgłymi. Było to w pewnej mierze obrachowane na efekt, który został rzeczywiście wywołany. Szmer w sali ucichł, wszyscy zaczęli z szacunkiem i poważaniem spoglądać na nią.

Odetchnąłem z pewną ulgą i wrażenie doznane na górze pomału zacierało się już, lecz Mary rzuciła zdumione spojrzenie na kuzynkę, co mnie znowu zaniepokoiło. Bojąc się, by to zdziwienie nie wzbudziło podejrzenia u obecnych, chciałem dotknąć się ręki miss Mary i przypomnieć jej, by lepiej panowała nad sobą, gdy nagle usłyszałem, że ją wzywają do badania.

Trudno przedstawić przerażenie, jakie mną ogarnęło w tej chwili. Twarz jej miała łagodny i poważny wyraz, nie mogłem jednak zapomnieć, jaką była w swym gniewie. Czy i teraz przyjmie na siebie rolę oskarżycielki? Czyż ona aż tak nienawidzi swej kuzynki, że jej nie dowierza? Czy zdecyduje się tutaj, w tej sali, w obecności wszystkich tych osób powtórzyć to, co powiedziała na górze? Na twarzy jej nie mogłem nic wyczytać i znowu spojrzałem na Eleonorę. Była w takim samym podnieconym i trwożliwym stanie, jak i ja, co wydało mi się zresztą zupełnie naturalnem. Przy pierwszych słowach swej kuzynki wstrząsnęła się cała i odsunęła w bok, tak iż twarzy jej nie mogłem dojrzeć, a widziałem tylko blade i drżące jej ręce.

Zeznania Mary Lavenfort były bardzo krótkie. Po kilku pytaniach, tyczących się jej samej i stanowiska jej w domu, poproszono ją, by opowiedziała wszystko, co wie o zabójstwie i wśród jakich okoliczności kuzynka i służba oznajmili jej o tem.

Podniosła swą przepiękną i dumną głowę i odezwała się cichym głosem:

— Sama osobiście nic nie wiem o zabójstwie mego drogiego stryja, — o wszystkiem dowiedziałam się od innych.

Serce me zamarło z radości, spadł z niego ogromny ciężar. Na twarzy Eleonory — również zajaśniał blask nadziei i zamigotał on, potem pobladł.

— Chociaż może to wydać się bardzo dziwnem — mówiła dalej Mary z jednakowo poważną miną — nie wchodziłam jednak jeszcze do pokoju, gdzie zdarzyło się to nieszczęście. Nie mogłam przemódz siebie, by spojrzeć na drogiego stryja; Eleonora była tam i ona może powiedzieć...

— Potem będziemy pytali się miss Eleonory — zwrócił jej łagodnie uwagę koroner, na którym piękność i urok młodej panny wywarły takie wrażenie, jak i na reszcie osób. — Chcemy wiedzieć tylko, co pani widziała sama? Mówi pani, że nic nie wie o tem, co stało się w tym pokoju po odkryciu strasznej brodni?

— Nie, nic!

— A co stało się w przedpokoju?

— W przedpokoju nic się nie stało — odpowiedziała spokojnie.

— Czy przez przedpokój nie przechodziła służba, a także pani kuzynka po ocuceniu jej z omdlenia?

Oczy Mary rozwarły się szeroko, jakby ze zdziwienia.

— Przecież w tem nie byłoby nic szczególnego! — rzekła.

— Może jednak pani pamięta, jak pani kuzynka weszła z biblioteki do przedpokoju?

— Owszem.

— Czy miała w ręku jaki papier?

— Papier? — powtórzyła Mary zamyślona i zwróciwszy się do kuzynki, zapytała: — Czyś miała, Eleonoro, jaki papier?

Nastała chwila natężonej uwagi i ciekawości. Eleonora, która zadrżała widocznie przy słowie, „papier“; podniosła się z miejsca i chciała coś powiedzieć na to naiwne pytanie, lecz Koroner podniósł silnym ruchem rękę do góry na znak, że winna milczeć i rzekł:

— Potem będziemy badali pani kuzynkę, a teraz proszę powiedzieć, co pani widziała sama.

Eleonora usiadła znowu, na policzki jej wystąpiły jaskrawe, czerwone rumieńce; w sali rozległ się szmer oburzenia — większości więcej zależało na zaspokojeniu swej ciekawości, niż na prawidłowem prowadzeniu śledztwa.

Gdy wreszcie w sali nastał spokój, koroner powtórzył swe pytanie:

— Pani będzie łaskawą powiedzieć nam, czy nie widziała pani czego w rękach swej kuzynki?

— Ja? nie... nic nie widziałam.

Gdy zaczęto ją badać co do wypadków poprzedzających tę noc, również nie umiała powiedzieć niczego nowego. Zauważyła tylko, iż stryj przy obiedzie wydał się więcej milczącym niż zazwyczaj, mogło to jednak stać się z powodu lekkiego niedomagania lub też z powodu przejęcia się jakąś sprawą, wchodzącą w zakres zwykłych jego zajęć. Potem już go nie widziała.

— Nie wie pani, czy stryj nie miał przypadkiem wrogów? Nie przechowywał on w domu jakich cennych papierów lub pieniędzy?

I na te pytania odpowiedziała przecząco.

— Czy w ostatnich dniach nie odwiedził kto obcy stryja pani, lub czy nie otrzymał listów, które mogłyby rzucić jakie światło na tę tajemnicę.

Miss Mary zmieszała się nieco i odrzekła:

— O ile wiem — nie.

Ukradkiem spojrzała na Eleonorę i widocznie przeczytała na jej twarzy coś uspokajającego, gdyż zaraz pospieszyła dodać:

— Zdaje mi się, iż mogę to powiedzieć z wszelką pewnością, gdyż stryj mówił mi zawsze, jeżeli zaszło coś ważniejszego.

Gdy zapytano ją o Dżen, przedstawiła ją z jak najlepszej strony; nie miała pojęcia, z jakich powodów znikła i nie wyobrażała sobie, by między jej zniknięciem a tą zbrodnią mogła być jakaś łączność. O ile jej wiadomo, Dżen nie miała kochanka i nie przyjmowała u siebie gości. Na pytanie, czy widziała kiedykolwiek rewolwer nieboszczyka, odpowiedziała potwierdzająco i dodała, iż było to w ten sam dzień, gdy go kupiono. Nadżór nad pokojami stryja należał do Eleonory — ona rzadko do nich wchodziła.

Spostrzegłem, iż przy tych słowach Eleonora uważnie spojrzała na mówiącą. Jeden z przysięgłych zwrócił się do Mary z zapytaniem:

— Czy stryj pani miał napisany testament?

Wszyscy z ciekawością nadstawili uszu, jaką odpowiedź da na to młoda panna; w pierwszej chwili obudziła się w niej jakby duma, zaraz jednak opanowała się i odpowiedziała spokojnie:

— Owszem, stryj napisał testament.

— Jeden tylko?

— Słyszałam tylko o jednym.

— Czy zna pani jego treść?

— Stryj nie robił tajemnicy ze swych zamiarów.

— To może powie nam pani w takim razie, kto dzięki temu testamentowi więcej korzystał ze śmierci nieboszczyka?

Zapytanie to było tak niedelikatne, iż wszyscy obecni na sali otwarcie wyrazili swe oburzenie.

Missa Mary dumnie wyprostowała się i patrząc spokojnie w twarz mówiącemu, rzekła:

— Mogę panu powiedzieć, kto więcej stracił na tej śmierci: jest to dwoje dziewcząt, które on uchronił od dłodu i nędzy, wziął pod swoją opiekę i które, gdy wyrosły, znajdowały u niego jak dawniej życie i dobrą radę. Dla nich śmierć jego jest taką stratą, że w porównaniu z nią wszelkie inne nie mogą mieć żadnego znaczenia.

Ta pełna szlachetności odpowiedź tak zawstydziła przysięgłego, który zadał to pytanie, iż czempręndzej cofnął się za swych kolegów. Wtedy na miejsce jego wystąpił inny i kłaniając się grzecznie, zapytał:

— A czy może nam pani powiedzieć, czy nie ma jakiego, choćby nie zupełnie jeszcze określonego podejrzenia, iż sprawcą śmierci pani stryja może być osoba, pani znana?

Była to straszna chwila, nie tylko dla mnie. Mary Lavenfort ze spokojem i pewnością siebie spojrzała wprost na mówiącego i jasnym głosem rzekła:

— Nie, nikogo nie podejrzewam! Nie tylko nie znam zabójcy swego stryja, ale nawet nie mogę przedstawić sobie, kto nim może być.

Wszyscy doznali ulgi. Badanie Mary Lavenfort zakończyło się, nadeszła kolej na Eleonorę.

VIII.

Rzeczowe dowody.

Ogólna uwaga doszła do zenitu. Wszystkim zdawało się, iż w tej chwili podniesie się zasłona, skrywająca złowieszczą tajemnicę i stanie się jasnem, kto dokonał tego ohydnego morderstwa. Chciałem uciec stąd jak najdalej, by nic nie widzieć, nic nie słyszeć. Nie dlatego, iż obawiałem się, że Eleonora zdradzi się — nie, byłem o nią spokojny; widocznem było dla mnie, iż panuje nad sobą i że nie potrzeba lękać się podobnej ewentualności. Lecz co będzie, jeżeli podejrzenie jej kuzynki nie wypływało z nienawiści ku niej, a było oparte na niezbitych faktach? Czy nie bolesnem będzie patrzeć, jak ta na pozór niewinna i dumna panna kłamie wszystkim i wykręca się? Pragnienie jednak dowiedzenia się wszystkiego przemogło inne uczucia i jak i reszta osób pozostałem na swem miejscu.

Koroner, na którym ujmująca powierzchowność Mary wywarła głębokie wrażenie na niewątpliwą niekorzyść Eleonory, był jedynym człowiekiem w sali, na którym nie znać było żadnego wzruszenia. Do nowego świadka zwrócił się co prawda z widocznem uszanowaniem, lecz za to tonem, w którym brzmiała nuta srogości:

— Pani od dzieciństwa przebywa w rodzinie pana Lavenforta?

— Od dziesiątego roku życia — nastąpiła odpowiedź.

Po raz pierwszy słyszałem jej głos i uderzyło mnie w nim to, iż podobny on był do głosu jej kuzynki, a zarazem brzmiał zupełnie odmienie.

— Z panią zawsze postępowano tutaj jak z córką?

— Żaden ojciec na świecie nie mógłby lepiej obchodzić się z własnem dzieckiem, jak stryj ze mną.

— Miss Mary — pani kuzynka, o ile się nie mylę — kiedy weszła do rodziny pani stryja?

— Prawie w tym samym czasie, co i ja. Rodzice nasi zginęli jednocześnie w pewnej katastrofie i jeżeliby stryj nie ulitował się nad nami, rzucone byłybyśmy na pastwę losu. Lecz on — wargi jej zadrżały widocznie — w swej wielkiej dobroci wziął nas do siebie i dał nam to, czego nie miałyśmy — rodzinny dom i on nam zastąpił ojca.

— Mówi pani, że był on ojcem tak dla pani jak i kuzynki i przyjął panie za własne dzieci. Czy chce pani przez to wyrazić, że nie tylko dawał wszystko, dopóki panie przebywały u niego, lecz i przyrzekł zabezpieczyć panie jednakowo?

— Nie, od samego początku dał mi do zrozumienia, że cały majątek przejdzie na koją kuzynkę.

— Czy pani kuzynka była dla niego tak bliską krewną jak i pani? Czy nigdy nie tłómaczył swego stronniczego postanowienia?

— Nie, mawiał tylko, iż jest jego ulubienicą.

Wszystkie jej odpowiedzi były tak proste i naturalne, iż ogólny nastrój, początkowo nieprzychylny dla niej, zaczął zmieniać się pomału na jej korzyść. Koroner tymczasem ciągnął dalej:

— Jeżeli stryj pani tak się z panią obchodził, jak to pani mówi, to pani musi bardzo go kochać?

— Naturalnie — odpowiedziała i cały wyraz jej twarzy świadczył, że to nie tylko puste słowo.

— Śmierć więc jego jest dla pani ciężkim ciosem?

— Tak!

— O tyle ciężkim, iż na widok jego zwłok pani zemdlała?

Eleonora w milczeniu potwierdziła ruchem głowy.

— A mimo to pani była jakby już przygotowana na to?

— Przygotowana? na to?

— Tak, służba mówiła, iż pani bardzo niepokoiła się, gdy rano nie wychodził na śniadanie.

— Służba?

Głos jej zadrżał, nie mogła mówić dalej.

— Gdy pani wyszła z biblioteki, była pani, jak mówiono, bardzo blada.

Czy zaczęła wreszcie rozumieć, o co chodzi, czy zaczęła domyślać się, jakiego rodzaju podejrzenie zrodziło się w głowie koronera? Tak podnieconej nie widziałem jej nawet tam, na górze, w błękitnym pokoju. Z widocznym wysiłkiem opanowała się i odpowiedziała:

— Niema w tem nic nadzwyczajnego; stryj był tak punktualny, iż wszelkie opóźnienie z jego strony mogło wywołać pewien niepokój.

— A więc pani niepokoiła się?

— Do pewnego stopnia — tak!

— Czyim obowiązkiem było doglądanie porządku w pokojach pani stryja?

— Moim.

— W takim razie pani winna znać mały nocny stolik, stojący koło łóżka?

— Naturalnie.

— Kiedy pani podchodziła do niego ostatni raz?

— Wczoraj.

Zadrżała widocznie przy tych słowach.

— O której godzinie?

— O ile pamiętam, koło obiadu.

— Czy rewolwer znajdował się na zwykłem miejscu?

— Zdaje się, że tak, zresztą niezwróciłam na to uwagi.

— Otwierała więc pani szufladę. Nie pamięta pani, czy zamknęła ją potem?

— Owszem, zamknęłam.

— A klucz pani wyjęła?

— Nie.

— Miss Lavenfort, rewolwer, jak pani zapewne już to zauważyła, leży przed panią na stole, może pani zechce obejrzeć go dokładnie?

Koroner wziął broń i podał jej.

Jeżeli zamierzał przestraszyć ją podobnem żądaniem, to dopiął swego celu; przy pierwszem spojrzeniu zatrzęsła się cała, a gdy podsunął go po raz drugi, cofnęła się w tył i zawołała. „Nie, nie!"

— Proszę pani dobrze obejrzeć ten rewolwer, miss Eleonoro; gdy go znaleziono, nie brakowało w nim żadnego naboju.

Wyraz przestrachu znikł z jej twarzy, wyciągnęła rękę po rewolwer.

Koroner nie spuszczając z niej oczu, dodał:

— Mimo to niedawno jeszcze strzelano z niego, ten jednak, z czyjej ręki padł strzał, wyczyścił lufę, lecz zapomniał uczynić tego i z bębnem.

Nie drgnęła nawet przy tych słowach choć wyraz rozpaczy malował się na jej twarzy i choć zdawało się, iż zemdleje zaraz. Szybko pohamowała swe uczucia i wyprostowawszy się, zapytała z miną pewną siebie:

— I cóż z tego, panie koronerze?

Koroner położył rewolwer na stół. Wszyscy obecni pytali się, co będzie dalej.

Usłyszałem koło siebie ciężkie westchnienie i gdy obróciłem się, ujrzałem miss Mary. Na twarzy jej widniało zawstydzenie; zdawało się, że teraz dopiero zrozumiała, iż również według mniemania obcych, w zachowaniu jej kuzynki jest coś podejrzanego.

— Chce pani dowiedzieć się, co z tego? — powtórzył spokojnie koroner — otóż to: żaden przypadkowy zabójca nie weźmie się do czyszczenia rewolweru po strzale z niego, a tembardziej nie będzie chował go do stolika i zamykał.

Nic na to nie odpowiedziała, natomiast Grys, jak to spostrzegłem, pokiwał znacząco głową i zapisał coś do swego notesu.

— Oprócz tego żaden obcy człowiek nie byłby w stanie o tak późnej porze dostać się do nieboszczyka, wziąć rewolwer z szuflady, przejść przez cały pokój i korytarz i nakoniec strzelić do niego, a to wszystko uczynić tak, by on nie obejrzał się przytem i nie popatrzył, kto chodzi po pokoju. A że on nie odwracał wcale głowy, jest to w zupełności stwierdzone wyjaśnieniami lekarza.

Słowa, w których brzmiało straszne podejrzenie, zostało wreszcie wymówione; wszyscy patrzeli na Eleonorę. Podobne jednak oskarżenie wywołało oburzenie nie w Eleonorze, lecz w jej kuzynce; zerwała się ze swego krzesła, jak gdyby chciała coś dodać lub powiedzieć. Zanim zdołała jednak otworzyć usta, obróciła się ku niej Eleonora, nakazała jej znakiem milczenie i sama rzekła spokojnie i stanowczo:

— Pan nie może z wszelką pewnością twierdzić, iż rzeczywiście wszystko stało się tak, jak pan mówił. Jeżeliby stryj mój strzelał sam wczoraj z jakiegokolwiek bądź powodu — co zresztą nie jest tak niemożliwe — czy i wówczas doszedłby pan do takiego wyniku, jak obecnie?



Koroner wziął broń i podał jej....

— Miss Eleonoro, — rzekł koroner — kulę wyjęto z głowy pani stryja.

— Więc co?...

— Odpowiada ona temu systemowi rewolweru, jaki posiadał stryj pani.

Po słowach tych pochyliła głowę i nic nie odrzekła. Zdawać się mogło, iż teraz zupełnie upadła na duchu. Gdy koroner zauważył to, stał się bardziej jeszcze chłodnym i ostrym.

— Miss Eleonoro, — rzekł — muszę pani zadać jeszcze kilka pytań, tyczących się wszorajszego wieczoru: gdzie pani go spędziła?

— Sama, w swym pokoju.

— Czy po obiedzie widziała pani swą kuzynkę lub stryja?

— Nie, po obiedzie nikogo już nie widziałam — z wyjątkiem Tomasza — dodała po krótkiej pauzie.

— W jakich okolicznościach widziała go pani?

— Przyniósł mi kartę wizytową pewnego pana.

— Można wiedzieć jego nazwisko?

— Na bilecie było nazwisko — Roy Robbins.

Zdawało się, że w tem niema nic podejrzanego, siedząca jednak przy mnie miss Mary zadrżała tak silnie, iż mimowoli musiałem to zauważyć.

— Gdy pani bywa w swym pokoju, czy drzwi zazwyczaj bywają otwarte?

— Miss Eleonora zmieszała się, mimo to odpowiedziała pospiesznie:

— Nie, zamykam je.

— A dlaczego były one otwarte wczoraj wieczorem?

— W pokoju było za gorąco.

— Tylko z tego powodu?

— Innego nie miałam.

— Kiedy pani zamknęła je?

— Gdy położyłam się spać.

— Czy to było przedtem, zanim służba poszła na górę, czy potem?

— Potem.

— Czy słyszała pani, jak pan Hervel wyszedł z biblioteki i udał się do sobie?

— Owszem, słyszałam.

— Drzwi długo jeszcze potem były otwarte?

— Nie pamiętam, może kilka minut — odpowiedziała niepewnie.

— Więcej niż dziesięć minut?

— Tak.

— Więcej niż dwadzieścia?

— Może być. — Blada była jak płótno i drżała na całem ciele.

— Miss Lavenfort! Jak już dowiedziono, śmierć pani stryja nastąpiła wkrotce po wyjściu od niego pana Hervela. Jeżeli drzwi miała pani otwarte, nie mogła pani nie słyszeć kroków tego, kto szedł do biblioteki, jak również i strzału z rewolweru. Czy słyszała pani cośkolwiek?

— Nie słyszam żadnego hałasu.

— Absolutnie nie.

— Nie słyszałam odgłosu wystrzału.

— Proszę wybaczyć mi moje naleganie, lecz pani nic zupełnie nie słyszała?

— Słyszałam jak zamknięto drzwi.

— Które?

— Od biblioteki.

— Kiedy?

— Nie wiem — odrzekła, ściskając nerwowo ręce. — Nie umiem panu tego powiedzieć! Dlaczego mnie pan tak długo pyta?

Podniosłem się z krzesła, gdyż ona zachwiała się, jakby omdlewała. Zanim jednak zdołałem podejść do niej, opanowała się i rzekła:

— Przepraszam, tak bardzo jestem dziś rozstrojona; o co chciał mnie pan spytać?

— Chciałem dowiedzieć się — odparł energicznie koroner, ujemnie widocznie tłómacząc sobie jej zmieszanie — kiedy pani słyszała zamykanie drzwi od biblioteki?

— Nie mogę dokładnie określić czasu, wiem tylko, iż było to po przejściu pana Hervela i po zamknięciu już mych drzwi.

— I pani nie słyszała wystrzału?

— Nie.

Koroner rzucił szybkie spojrzenie na przysięgłych, którzy zaambarasowani milczeli.

— Miss Lavenfort, powiedziano nam, że pani pokojówka, Dżen, udała się tej nocy do pani z prośbą o lekarstwo. Czy była ona u pani?

— Nie!

— Kiedy pani dowiedziała się o jej dziwnem zniknięciu?

— Dzisiaj rano przed śniadaniem. Molly spotkała mnie na korytarzu i zapytała, gdzie Dżen; zamieniłam z nią kila zdań i przyszłam do przekonania, iż Dżen musiała wyjść z domu w nocy ukradkiem.

— Co pani pomyślała, dowiedziawszy się o jej zadakowem zniknięciu?

— Nie wiedziałam, co sądzić o tem.

— Nie przyszło pani na myśl, że to może być w pewnym związku ze śmiercią stryja.

— Nie wiedziałam jeszcze wówczas o tem morderstwie.

— A potem?

— Istotnie pomyślalam, że Dżen może wiedzieć coś o tem, twierdzić jednak tego stanowczo nie mogę.

— Może pani opowiedzieć cośkolwiek o niej?

— Nic więcej ponadto, co powiedziała już moja kuzynka.

— Nie wie pani, dlaczego bywała wieczorami tak smutna?

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Opowieści Imci Pana Dymka".

Teatr ludowy w Krakowie, którego nieustanny rozwój jest tak widoczny, wystawił w ubiegłym tygodniu z wielką starannością przepyszny utwór znanego i zamiłowanego badacza przeszłości Krakowa, dra Klemensa Bąkowskiego, p. t. „Opowieści Imci Pana Dymka".

Ów pan Dymek, jest postacią historyczną z XVII. w.; był w Krakowie żakiem, a zarabiał na skromne życie lekcyami, pisarką, układaniem listów itp. Autor ujął tę postać nadzwyczaj trafnie i wyposażył ją w spory zasób humoru. Tło sztuki stanowi epizod z życia krakowskiego cechu stolarskiego, a zwyczaje ówczesne i język przedstawił dr. Bąkowski wprost niezrównanie.



„Opowieści Imci Pana Dymka": Dr. Klemens Bąkowski.

Sztukę odegrano doskonale, zwłaszcza dyr. E. Ryger w roli staruszka, p. Szarkowski w roli tytułowej i p. Poleński, jako rajca miejski, dalej pp. Turski, Jarnuński, Belke, J. Ryger, Grabowska, Zielińska i Hulicka, zdobyli za sumienne oddanie swych ról huczne oklaski.

Publiczność bawiła się doskonale pełnemi humoru przygodami Imci pana Dymka i jego otoczenia, darząc autora sztuki wyrazami szczerego uznania.

Strajk uczniów szkoły przemysłowej we Lwowie.

Uczniowie szkoły przemysłowej lwowskiej rozpoczęli strajk w obronie swych praw.

W ostatnich czasach wydało namiestnictwo w porozumieniu z Wydziałem krajowym rozporządzenie, zezwalające na wydawanie koncesyi na wykonywanie przemysłu murarskiego, ciesielskiego, kamieniarskiego i studniarskiego takim osobom, które nie posiadają żadnych fachowych studyów ani egzaminów, a odbyły tylko kilkuletnią praktykę.



Strajk uczniów szkoły przemysłowej we Lwowie: Grupa strajkujących uczniów.

Uczniowie szkoły przemysłowej słusznie spostrzegli w tem rozporządzeniu zagrożenie swego bytu i rozpoczęli akcyę obronną. Nieprzychylne stanowisko namiestnictwa wobec życzeń uczniów szkoły przemysłowej skłoniło tych ostatnich do chwycenia się ostrzejszej formy walki o swe prawa, a mianowicie do proklamowania strajku szkolnego.

Strajkujący przedłożyli za pośrednictwem osobnej deputacyi szczegółowy memoryał marszałkowi hr. Badeniemu, który przyrzekł sprawę poruszyć w sejmie.

Stowarzyszenie majstrów murarskich i ciesielskich wniosło również odpowiedni memoryał do sejmu, aby poprzeć słuszne żądania strajkujących uczniów.

Zjazd koleżeński.

(Do illustracyi na stronie 17).

Węzły przyjaźni, zadzierzgnięte na ławie szkolnej, są najsilniejsze, są najtrwalsze. Koledzy szkolni zachowują do najpóźniejszych lat wzajemną życzliwość i serdeczność, a czynnikiem, który te uczucia podtrzymuje, który je karmi, są wspomnienia. Nie zawsze wesołe, nie zawsze radosne, czasem nawet bardzo bolesne i smutne, ale zawsze drogie każdemu.

To też weszło oddawna w zwyczaj, iż koledzy, którzy w jakimś zakładzie ukończyli nauki, zjeżdżają się w pewnych odstępach czasu celem odświeżenia wspomnień i spędzenia wspólnie kilku godzin na wesołej, towarzyskiej pogawędce.

Zjazdy kolegów z czasów nauki gimnazyalnej są bardzo częste i każdego roku po kilka się ich odbywa. Rzadką jednak była uroczystość koleżeńska, urządzona niedawno w Krakowie, a która zgromadziła kilkunastu lekarzy z całej Galicyi. Byli to mianowicie lekarze, którzy przed 30 laty ukończyli wydział medyczny na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a następnie poświęcili się praktyce i nauce. Kilku z nich zdobyło sobie sławę znakomitych lekarzy i profesorów i zajmują wybitne w społeczeństwie stanowiska, że wspomnimy tylko o prof. Jaworskim z Krakowa i prof. Gluzińskim ze Lwowa.

Zjazd zapewne długo pozostanie w pamięci uczestników i będzie jeszcze jednym z dowodów, że węzły przyjaźni koleżeńskiej z ław szkolnych nigdy się nie rozluźniają.

Fotografia nasza przedstawia uczestników zjazdu, którzy w liczbie dwunastu przybyli do Krakowa.



„Opowieści Imci Pana Dymka": Oracya rajcy miejskiego (p. Poleński) w czasie stypy w domu cechmistrza. Na lewo Imci Pan Dymek (p. Szarkowski ✕).

Kronika tygodniowa.

(Dalszy ciąg mych domowych kłopotów. — Druga wyprawa po bilet. — Zwycięstwo! — We środę rano. — Służąca przygotowuje się do pójścia na rozprawę. — Ogólny wygląd Krakowa w czasie procesu. — Galerya sądowa. — Niezadowolonie niewiast. — Wytrzymałość niektórych pań. — Pan Zifferer z Neue Freie Presse. — Dodatnie skutki procesu. — Jakie można było mieć jeszcze inne korzyści. — Moralne zdobycze. — Karnawałowy występ Starucha. — Wybory w Anglii. — Zima).

Znając czułe usposobienie naszego społeczeństwa, jestem święcie przekonany, że większość P. T. Czytelników serdecznie współczuła z losami mej czcigodnej połowicy, która o mały figiel nie zdobyła palmy męczeńskiej przed murami kryminału świętego Michała. Zapewne sądzisz zacny Czytelniku, że była to dla niej dobra nauczka i że dała sobie już potem spokój z procesem...? Jeśli takie myśli snujesz w swej głowie, to jesteś w błędzie.

Zaraz nazajutrz, t. j. we wtorek rano, wcześniej jak zwykle zwlokła się z łoża boleści i zaczęła toaletę. Pewny byłem, że wybiera się do lekarza, zrobiłem też skromną uwagę, iż raczej było go wezwać do domu... Na to odrzekła, że o lekarzu ani myśli, idzie natomiast do miasta, aby się wystarać o bilet wstępu. Niech kosztuje co chce, a bilet mieć musi.

— Choćbym miała sprzedać pierzyny i zastawić swój zegarek i twoje futro — twierdziła, szlachetnym uniesiona zapałem — o bilet się wystaram!

I podążyła do miasta a za nią chyłkiem pocięgnęła służąca, wziąwszy przezornie ze sobą pogrzebacz, gdyż jak twierdziła, może jej się przydać jako broń zaczepna i odporna przy zdobywaniu biletów wstępu. Ktoś im bowiem powiedział, że na telegraficzne zarządzenie ministerstwa odbędzie się jeszcze jedno nadprogramowe „rozrzucanie“ biletów.

— No, to i dzisiaj obiad dyabli wzięli! — pomyślałem sobie, ciesząc się w duchu, że można będzie pójść w południe do knajpki i tam zjeść spokojnie to, co człowiek lubi a nie to, co mu jeść każą.

Wieczorem wróciła żona tryumfując do domu. Z daleka już pokazała mi zdobyty bilet wstępu, a że jest niewiastą uświadomioną i wykształconą, zawołała tylko z radośnie uśmiechniętem obliczem:

— Henryku! Mój kochany staruszku...! — i rzuciła mi się na szyję.

Nieprzyzwyczajony do takich czułości, od których miałem już czas odwyknąć, złożyłem swe grzeszne ciało w małżeńską łożnicę i zasnąłem spokojnie, marząc o tem, czy Borowska rzeczywiście zastrzeliła Lewickiego. Nie ma w tem nic dziwnego, cały dzień słyszy się i czyta o owym procesie, więc mimowoli kierują się wszystkie myśli w tę stronę.

Przed dziewiątą rano we środę, gdym otwarł oczy, przekonałem się, że żony już niema. Mój Boże, pomyślałem sobie, co ta Borowska narobiła w Krakowie! Moja żona, której o jedenastej nie można było ściągnąć z łóżka, o dziewiątej czeka już na otwarcie drzwi sali rozpraw. Powróciła, jak się od służącej dowiedziałem, wygnieciona i zgłodniała dopiero około piątej i do siódmej, nie rozbierając się wcale, opowiadała służącej przebieg procesu. Wieczorem zeszły się do niej jej przyjaciółki i po raz drugi zdała im dokładne sprawozdanie. Rzecz prosta, przez cały dzień karmiłem się po restauracyach, wieczorem zaś, gdy baby zaczęły nadmiernie trajkotać, pociągnąłem na lampkę zieleniaka do Gralewskiego.

Służąca była natomiast niepocieszona, jej bowiem nie udało się zdobyć biletu. Obiecałem, by jej to zmartwienie osłodzić, że na jedno posiedzenie pożyczy jej żona biletu. I tu znowu nowe nieszczęście! Przez cały czas trwania procesu nie dostałem wprawdzie w domu nic do jedzenia, gdyż pani nie miała nigdy czasu na zadysponowanie obiadu, bojąc się, by przypadkiem nie uroniła choćby jednego słowa z rozprawy, było jednak w domu posprzątane i zapalone w piecach. Od chwili jednak, gdy służąca dowiedziała się, iż i ona pójdzie do sądu, zmieniło się wszystko, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Łóżka od tygodnia nie posłane, ogniska wygasły, podłoga zaśmiecona, a warstwa kurzu, grubości pięciu milimetrów pokryła wszystkie meble. Spytasz Czcigodny Czytelniku, jaka tego przyczyna? Odpowiem ci, ręcząc za prawdziwość. Służąca przygotowuje się do pójścia do sądu na galeryę, odprasowuje więc wszystkie swe spodnice i staniki, stroi kapelusz, i co chwila przymierza przed lustrem, w czem jej bardziej do twarzy.

I taka sytuacya trwa już drugi tydzień, t. j. od chwili owego nieszczęsnego „rozrzucania“ biletów. Nie myśl jednak, że jest to odosobniony wypadek. W całym Krakowie wre i huczy, każdy mówi o Borowskiej i jej procesie. W ulicach pustki, w handlach zastój, rzekłbyś ludność miasta wymarła, lub schroniła się do piwnic przed najazdem Tatarów. W okolicy sądu natomiast rojno i gwarno, handel Kosza, najbliższy gmachu sądowego, sprzedaje codziennie potrójną ilość polędwicy gorącej i o czterdzieści łokci więcej gorącej kiełbasy.

Zapomniano o wszystkiem, co nas boli lub cieszy, gazety nie bawią się w szerszą politykę, nożyce redakcyjne rdzewieją, wszystko mówi, myśli i marzy jedynie o Borowskiej... Galerya w sali rozpraw, którą zajęły panie, przypomina ziejący ogniem krater Wezuwiusza.., bije stąd żar, który rozsadza łona naszych żon, ciotek, matek, babek i córek na wspomnienie miłosnych przepraw oskarżonej. Narzekają jednak niewiasty, że zanadto mało momentów drastycznych a one sobie tak wiele obiecywały! Z galeryi odzywają się niekiedy niecierpliwe pomruki, a czasem nawet oklaski, co przewodniczącego zmusza do strofowania niespokojnych.

Jedna z niewiast, nie mogąc się doczekać dokładnego opisu krytycznej nocy, oświadczyła przyjaciółkom, że gdyby ona zajęła krzesło przewodniczącego, byłoby zupełnie inaczej, wiedziałaby, o co i kiedy się zapytać, aby zaspokoić swą własną i współtowarzyszek ciekawość. Jakie zaś zajęcie ogólne jest tą sprawą, niech posłuży za przykład oświadczenie mej połowicy, która, gdym ją prosił, by pożyczyła biletu służącej bodaj na godzinę, odparła z stanowczością w głosie:

— Ani mi się śni! dziś jest bardzo ważny moment! Nie mogę go opuścić, straciłabym bowiem wątek sprawy... Kup jej gazetę, niech sobie przeczyta!

Sprawa rozbitej lampy i wciągniętego knota zajmuje ogół, zajmują się nią nie tylko w Krakowie, nawet we Wiedniu, Warszawie, Poznaniu, a wiedeńscy dziennikarze mają sposobność wypisywania absurdów na konto biednej Galicyi. Pan Carl Zifferer umieścił w wiedeńskiej *Neue freie Presse* fejleton o rozprawie Borowskiej. Pan ów, kto wie nawet, czy nie pochodzenia galicyjskiego, wypisuje *ex re* swej wizyty w Krakowie takie głupstwa, iż każdego, znającego stosunki, pobudza do śmiechu. Nie dziwmy się jednak; nasi kochani *schreibjüngetesy* kochają naszą Galicyę całem sercem i o ile mogą, oddają jej tego rodzaju przysługi, byleby je tylko narazić na pośmiewisko. Głupota ludzka nie ma granic, przebaczmy więc panu Z fffererowi i jego obrzezanym kolegom po piórze ich napaści i złośliwe wycieczki.

Jak z tego wszystkiego widać, przez jakieś dwa tygodnie będziemy żyć jeszcze pod znakiem Borowskiej, a potem wrócimy do codziennego życia, by jakoś ukończyć karnawał, który tego roku jest tak krótki, a o którym z powodu procesu mało się mówi i pisze. Zazdroszczę mężom z prowincyi, którzy zdala od Krakowa nie mają sposobności obserwowania obecnego ruchu i brania w nim udziału. Oni mogą twierdzić, że mają żony i córki, gdy tymczasem my dziś tego o sobie powiedzieć nie możemy.

W jednym tylko kierunku proces ma dodatnie skutki, wpłynął bowiem nader ożywiająco na nasze dziennikarstwo. Publiczność, która dotąd uważała dla siebie za hańbę nabycie choćby pojedynczego numeru jakiegoś dziennika, kupuje je stale. Rozważając losy Borowskiej zastanawia się: winna, czy niewinna i spieszy pod gmach sądowy, by przynajmniej zobaczyć oblicze któregoś ze sędziów przysięgłych i wyczytać z jego lic, jakiego też nabrał o całej sprawie przekonania.

Nadto i przemysł krajowy (czytaj: z Kazimierza) zyskał na sprawie ogromnie. Znalazło się wielu bardzo przedsiębiorców, wprawdzie nie koncesyonowanych, jednak robiących wcale dobre interesy na sprzedaży lub wypożyczaniu biletów wstępu na salę rozpraw. Żądnych nowości i podniecenia nie braknie nigdy, w miarę zaś popytu za biletami i zbliżania się rozprawy ku końcowi, rosną ceny w dwójnasób. Jeden taki bilet może właścicielowi w czasie całej kadencyi przynieść conajmniej kilkadziesiąt koron czystego zysku.

Wobec tego wielka szkoda, iż nie urządzono rozprawy w sali teatru miejskiego, gdzieby miejsca sprzedawano po zwykłych cenach dramatu. Raz na tydzień możnaby dać przedstawienie popularne po cenach zniżonych, a ręczę, że widownia byłaby zawsze wysprzedana. Po opłaceniu czynszu za wypożyczenie sali, zostałaby pokaźna nadwyżka, którą możnaby użyć na jakiś cel szlachetny, n. p. na wsparcie ubogich lub podobny.

Daruj, przezacny Czytelniku i ty współczująca z Borowską Czytelniczko, że całą prawie kronikę poświęciłem tej sprawie. Jeden to dowód więcej, jak cały Kraków tym tylko żyje procesem. Sądzę, iż nie weźmie mi tego nikt za złe, że idąc za ogólnym prądem, staram się bezstronnie przedstawić sytuacyę, wywołaną owym procesem. Wolałbym, co prawda, napisać w okresie karnawałowym coś weselszego, nie moja jednak wina, że prezydyum sądu, zamiast w wielkim poście, wyznaczyło rozprawę na karnawał.

Jak proces wypadnie, dotąd nie wiadomo. Ponieważ jednak po rozprawie Steinheilowej w Paryżu, gdzie ją jak wiadomo uwolniono od zarzutu zamordowania matki i męża, sufrażystki tamtejsze zwołały zgromadzenie, naśladujące sąd przysięgłych i ośmdziesięciu głosami przeciw dwudziestu potępiły ją za poniżenie godności kobiecej, wartoby, aby i nasze feministki zabawiły się w ten sam sposób. Zastrzegam się jednak, że rozprawa musiałaby być publiczną, za płatnymi biletami wstępu, by nie zeszło się zanadto dużo ciekawych, ścisku bowiem nie zniosę, a na taką rozprawę wybrałbym się z wielką ochotą. Byłyby to bardzo odpowiednie rozmyślania wielkopostne dla naszych uświadomionych niewiast.

Ponieważ o materyalnych korzyściach procesu już wspomniałem, warto się zastanowić, czy nie będzie on miał i korzystnych następstw pod względem moralnym. W to bardzo wątpię! Gdyby nawet przyszło do niewieściej rozprawy na wzór Paryża, moglibyśmy mówić co najwyżej o wzmożeniu się ruchu umysłowego między feministkami, gdyż na gwałt studyowałyby różne kodeksy prawnicze, w każdym razie ostateczny efekt moralny jest ujemny i może bardzo źle podziałać na poszczególne przedstawicielki płci pięknej, które gotowe sobie w końcu powiedzieć: A nuż wartoby pokosztować, jak smakują takie zakazane owoce? Wiele pań Dulskich potępia bohaterkę sensacyjnej sprawy, to prawda, ale też i zazdroszczą jej, że też to nie one one, ale właśnie ona stała się tak sławną, iż na sto mil w promieniu tylko o niej mówi się i pisze.

Ale dajmy już spokój procesowi, a przypatrzmy się, jak gdzieindziej bawi się narodek w karnawale. Lwów po klapie banku parcelacyjnego ma posiedzenia sejmowe, które urozmaica swymi występami humorystycznymi słynny Tymko Staruch, bezsprzecznie jeden z najznakomitszych humorystów ukraińskich ostatniej doby. Debata nad budżetem jest stanowczo nudna, humorystyczne sceny wpłynąć mogą tylko dodatnio na umysły radzących, wiadomo bowiem, że dobry humor jest koniecznym warunkiem zdrowia, usposabia także do szlachetnych czynów. A dzięki Staruchowi, posłowie nawet poważni, mają uśmiechnięte oblicza.

Szkoda jednak, że te występy giną marnie dla ogółu. Godziłoby się, by się znalazł jakiś historyograf, któryby je spisał, mogłyby zająć miejsce naszych „Pereł humoru“ i przyczynić się do powiększenia i tak dość szczuplej literatury ukraińskiej.

Daleko lepiej bawi się w karnawale Anglia, która urządziła sobie właśnie teraz wybory. Obchodzi się wprawdzie bez kiełbasy wyborczej, niemniej jednak *wlusky* cieszy się wzmożonym odbytem. Zaprowadzono także nowość, która i u nas może znaleść zastosowanie. Żony i dzieci kandydatów jeżdżą po okręgach wyborczych i agitują za nimi, co się ogólnie podoba i ma wcale dobre wyniki. Niema to, jak angielska pomysłowość!

A śniegu, jak nie było, tak niema, natomiast Amerykanie cieszą się dzięki poparciu Pearyego piękną zimą którą przywiózł ze sobą z bieguna północnego. Widząc, że przeciwnik tryumfuje, Cook zabrał lary i penaty i zgubił się gdzieś w Europie... Powiadają, że pojechał do Krakowa na rozprawę Borowskiej.

X.

(Ciąg dalszy).

Rozprawa Janiny Borowskiej przed sądem przysięgłych trwać będzie dni kilkanaście. Cztery dni zajęło — jak wspominaliśmy — przesłuchanie obwinionej, następnie dopiero zaczęto przesłuchiwać świadków, których lista jest bardzo długa, zwłaszcza, że



Fragment z sali rozpraw, podczas przesłuchiwania dra. Dobrzańskiego (X), przyjaciela ś. p. Lewickiego.

przewodniczący rozprawy powołał prócz zaproponowanych przez prokuratora i obronę, także kilka osób, których zeznania miały być w czasie rozprawy odczytane.

Świadków, przesłuchiwanych w tej sprawie, można podzielić na dwie kategorye. Jedną stanowią ci, którzy znali bliżej bądź oskarżoną, bądź ś. p. Lewickiego i na tej podstawie, na podstawie znajomości ich samych, ich charakterów i usposobień, ich wzajemnego stosunku, mogą rzucić pewne światło na tajemniczą sprawę, drugą ci, którzy znaleźli się z tytułu swego powołania lub charakteru urzędowego na miejscu tragedyi bezpośrednio po śmierci ś. p. Lewickiego i stąd mogą się przyczynić do wyjaśnienia tajemnicy.

Oczywista rzecz, że wobec wybitnie psychologicznego podkładu tragedyi, największe znaczenie mają zeznania świadków pierwszej kategoryi. Tembardziej, że dochodzenia na miejscu zaraz po wypadku i w czasie śledztwa poczynione, nie dały decydujących wyników.

Przerwana na jeden dzień rozprawa, podjęta została w dalszym ciągu w środę rano. Przewodniczący przesłuchiwał następnych świadków, między innymi męża oskarżonej, dra Maryana Borowskiego.

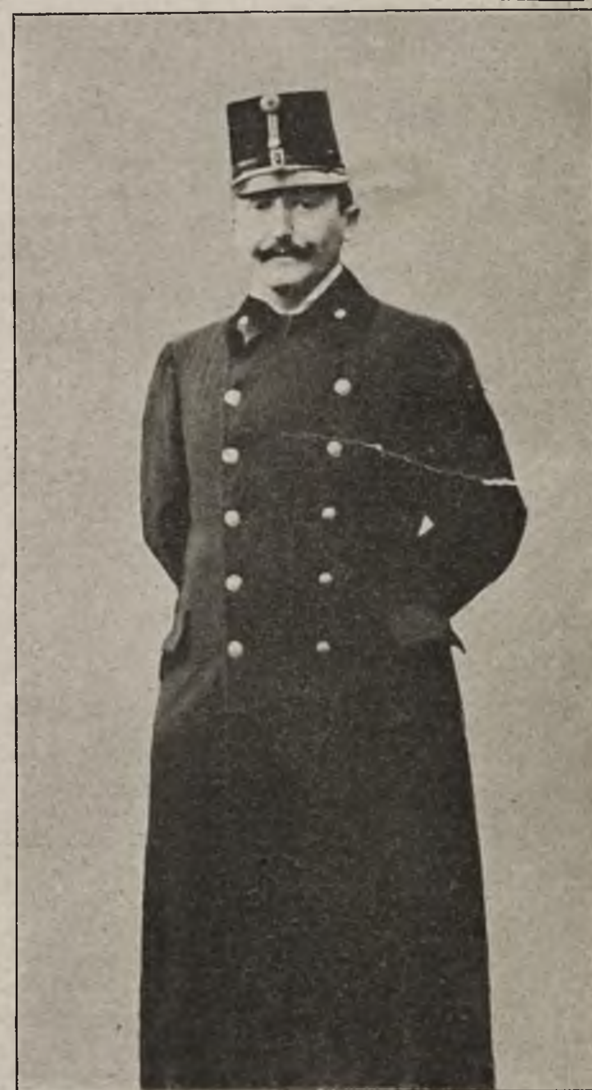
* * *

Uwzględniając olbrzymie zainteresowanie się najszerszych kół sensacyjnym procesem Borowskiej, poświęcamy znaczną część dzisiejszego numeru illustracyom, do tego procesu się odnoszącym. Prócz



Sprawozdawca dzienników wiedeńskich, dr. Rheik.

illustracyi tytułowej, która przedstawia sytuacyę w sali sądowej, a więc trybunał, prokuratora, zastępcę rodziny ś. p. Lewickiego, obrońcę oraz oskarżoną, jest tam kilka zdjęć, zrobionych przez redakcyjnego fotografa w sali sądowej podczas przesłuchania obwinionej a następnie świadków, jest dalej niesłychanie interesujące zdjęcie, również własne, które udało nam się zrobić po bardzo długich i usilnych staraniach, a które przedstawia Janinę Borowską na sofie w pokoiku lekarzy sądowych, obok sali rozpraw, gdzie odpoczywa w czasie przerw, są portrety ważniejszych świadków, zdjęcie ławy



Świadek komisarz policyi Rudolf Krupiński.

dziennikarskiej, nakoniec interesujący obrazek, przedstawiający woźnego sądowego Majtykę, urzędującego przy wejściu do miejsc rezerwowanych.

Chrzest Chińczyka w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 9).

Wojnie rosyjsko-japońskiej zawdzięcza Chińczyk *Kaing-ba*, że dostał się do Europy. Zdaje się, że to nieprawdopodobne, a jednak tylko dzięki obozowaniu wojsk rosyjskich pod Charbinem w północnej Mandżuryi, został Kaing ba wyrwany ze swego środowiska na pół barbarzyńskiego i oddany w ręce księży katolickich, którzy zajęli się losem tego małoletniego poganina.



P. Rydzewska podczas zeznań jako świadek.



Stół dziennikarzy. 1. Biuro korespondencyjne. 2. *Czas.* 3. *Nowości illustrowane.* 4. *Gazeta powszechna.* 5. *Nowiny* 6. *Naród.* 7. *Głos Narodu.* 8. *Nowa Reforma.*

Historya tego chińskiego dziecka jest niezwykle ciekawą. Rodzice odumarli go wcześnie. Pięcioletnim chłopcem zaopiekował się pewien Chińczyk, który przyjął sierotę na pastucha świń. Dwa lata spędził mały Kaing ba wśród pastuchów, aż nagle pod Charbinem z racyi wojny z Japonią, pojawiły się wojska rosyjskie. Mały Chińczyk za kawałek chleba i dobre



Janina Borowska po zemdleniu w dniu 18. b. m. (Zdjęcie w pokoiku obok sali rozpraw).

słowo pełnił różne drobne posługi u jednego z oficerów rosyjskich, który tak się przywiązał do chłopca, że zabrał go z sobą do Europy. Dłuższy czas przebywał Kaing-ba u swego opiekuna w Mohylowie. Po pewnym czasie oficer ów oddał chłopca swej siostrze, a ta odstąpiła go dalszym znajomym, aż w końcu dostał się do polskiej katolickiej rodziny i pod opiekę polskiego kapłana, ks. Mańkowskiego w Kamieńcu Podolskim. Ten zainteresował się malcem, który w międzyczasie nauczył się już mówić po polsku i jako członek i krzewiciel nauki Chrystusowej przysłał go do Krakowa do zakładu Misyonarzy im. ks. Siemaszki, gdzie Kaing ba, liczący dziś 13 lat, pod opieką ks. J. Rzyniecki, dyrektora zakładu i brata L. Muzalewskiego, przygotowuje się z zapałem na przyszłego misyonarza, aby powrócić do Chin i nawracać swych rodaków.

W niedzielę dnia 16 b. m. odbył się w kościele XX. Misyonarzy na Kleparzu chrzest małego Chińczyka.



Świadek Regina z Grzesiewiczów hr. Tyszkiewiczowa.

Zgon zacnej obywatelki.

(Do illustracyi na str. 9).

Po długiej słabości zmarła w ubiegłym tygodniu w Stanisławowie jedna z bardzo zasłużonych i czcigodnych matron polskich, ś. p. Wilhelmina Nemetzowa. Była to postać, ciesząca się w Stanisławowie ogólną czcią, jako wybitna działaczka na polu pedagogicznem i oświatowem. Przez długi szereg lat była dyrektorką tamtejszej szkoły wydziałowej i położyła wielkie zasługi około wychowania młodego pokolenia naszych kobiet. Bardzo czynny udział brała też ś. p. Nemetzowa w życiu publicznem i narodowem Stanisławowa. Jako przewodnicząca miejscowego Koła Pań T. S. L. przyczyniła się wybitnie do rozwoju tego Koła.

Zgon jej wywołał szczery żal i współczucie. Cześć jej pamięci!

Lwowianka lekarzem w Czerniowcach.

Uczące się kobiety czeka jedno z najwdzięczniejszych zadań w zawodzie lekarskim. O ile w innych zawodach nie ma różnicy pod względem wykonywania tego zawodu przez kobietę lub mężczyznę, to w zawodzie lekarskim oddawna dawał się odczuć brak kobiet lekarzy.

Z prasy bukowińskiej dowiadujemy się o zamianowaniu drowej Wilenkowej, siostry dra Rittla, posła na sejm z Brodów, sekundaryuszką szpitala powszechnego w Czerniowcach.

Jestto pierwszy wypadek na Bukowinie, gdzie kobieta osiągnęła tego rodzaju stanowisko i spotkała się z uznaniem dla swej pracy i zdolności. Pani doktór Wilenkowa, rodem ze Lwowa, ukończyła gimnazyum w Krakowie i przez pewien czas była słuchaczką medycyny na lwowskim uniwersytecie.

Z więzienia na estradę.

Głośna przed paru miesiącami sprawa zabójstwa w Warszawie, w hotelu Europejskim, księcia Kasatkina Roztowskoja, b. oficera leibgwardyi huzarów w Petersburgu, a ostatnio urzędnika intendantury, przez kochankę jego, śpiewaczkę kabaretową, Ksenię Bauer, znaną pod pseudonimem estradowym Marquitty Tangero, została zakończona pomimo zupełnego przyznania się Bauerównej do zbrodni, zupełnem ułaskawieniem oskarżonej. Proces zakończył się dla Bauerównej pomyślnie, sąd bowiem nietylko odrzucił inkryminowaną jej premedytacyę zabój-



Świadek Włodzimierz Kosiński.

stwa i uznał ją winną tylko zabójstwa w uniesieniu, lecz wobec ustalonych w śledztwie sądowem okoliczności łagodzących i wobec tego, że świadkowie stwierdzili niegodziwe obchodzenie się księcia ze swą towarzyszką w ciągu 5 cio letniego ich pożycia, a nadto nieposzlakowaną konduitę Bauerownej, oddanej mu całą duszą, przedstawił ją do łaski monarszej z prośbą o wyznaczenie jej minimalnej kary 5 cio miesięcznego więzienia, z zaliczeniem aresztu prewencyjnego. Ułaskawienie to istotnie nadeszło w ostatnim okresie 5 ciomiesięcznego aresztu i Bauerówna, której groziła katorga, uzyskała wolność.

Bauerówna przyjęła ułaskawienie jako akt prawdziwej łaski, bo kara, jaka jej groziła, oznaczała dla niej nie tylko pozbawienie osobistej wolności ale także koniec jej karyery artystycznej. A jak drogą dla niej była i jest ta karyera, świadczy najlepiej fakt, że Bauerówna nie marnowała czasu przymusowego pobytu w więzieniu warszawskiem.

W czasie swego pobytu w więzieniu, Bauerówna nauczyła się wcale dobrze po polsku i oprócz pieśni węgierskich (bo jest Węgierką), repertuar swój wzbogaciła obecnie i pieśniami polskiemi, na nowe swoje tournée artystyczne.

Obok podajemy ostatnie zdjęcie ułaskawionej Bauerównej, po uwolnieniu jej z więzienia w Warszawie.



Świadek Stefania Jasińska.

Aresztowanie szpiega we Lwowie.

Od dłuższego czasu jest Galicya formalnie zasianą szpiegami wojskowymi. Mimo czujności władz galicyjskich, szpiegostwo wojskowe na rzecz obcych wcale nie ustaje, o czem świadczą coraz to nowe fakta i aresztowania coraz to innych osób, pozostających pod zarzutem szpiegostwa.



Lwowianka lekarzem w Czerniowcach: Dr. Wilenkowa.

Wykradanie tajemnic wojskowych, jak dyslokacyi wojsk, planów fortecznych i mobilizacyjnych, należy do rzeczy pospolitych i codziennych, nawet pomiędzy zaprzyjaźnionemi mocarstwami.

Aresztowany w dniu 9 b. m. we Lwowie Marceli Miłobędzki przyznał się, że pozostawał w stosunkach ze sztabem obcego mocarstwa. Wkręcił on się w koła socyalistyczne we Lwowie i przy ich pomocy starał się wydostać potrzebne mu szczegóły, albowiem sam mało jeszcze oryentował się w stosunkach galicyjskich. Zachowanie jego było tem dziwniejsze, że starał się w socyalistów lwowskich wmówić, iż fałszywie informuje owo obce mocarstwo a równocześnie wyjeżdżał do Przemyśla rzeczywiście po informacye co do dyslokacyi twierdzy i budowania w Przemyślu nowych fortów, jak dowodzi znaleziony przy nim kwestyonaryusz.

Aresztowano go na dworcu w chwili, gdy odjeżdżał ze Lwowa do Przemyśla.

Aresztowany odmówił wszelkich zeznań mimo dowodów winy, jakie mu przedstawiono i jakie przy nim znaleziono. Stwierdzono natomiast, że Miłobędzki, który sam stosunków galicyjskich jeszcze nie poznał, szukał na prawo i lewo emigrantów z Królestwa, aby przy ich pomocy uprawiać szpiegostwo. Pierwsi uwagę zwrócili nań socyaliści lwowscy i nie mało przyczynili się do zdemaskowania Miłobędzkiego jako szpiega.

Miłobędzki przedstawiał się we Lwowie jako ofiara stosunków politycznych w Królestwie i podawał się za byłego właściciela fabryki, którą był zmuszony zamknąć wskutek strajków robotniczych. Po przyjeździe do Lwowa był urzędnikiem w administracyi tamtejszego dziennika socyalistycznego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Szan. P. T Prenumeratorów, nadsyłających rozwiązania Wielkiej Szarady i proszących o odpowiedź, czy rozwiązanie do Redakcyi nadeszło i czy z stało uznane za dobre, prosimy o cierpliwość. W oznaczonym czasie ogłosimy nazwiska wszystkich tych, którzy wezmą udział w losowaniu, na poszczególne listy, choćby nawet dołączoną była marka pocztowa, z powodu braku czasu odpowiadać nie możemy.

To samo odnosi się do zapytających się, ile z nowo utworzonych przez nich wyrazów zostało skreślonych, ile zaś przyjęto

Przypominamy, iż tylko rozwiązania nadesłane na kuponie mogą brać udział w losowaniu,

P. T. Prenumeratorzy z Galicyi i Bukowiny kwitów prenumeracyjnych nadsyłać nie potrzebują.

WP. I. K. Pilica: Papier na *Nowości* dajemy bardzo dobry, daleko lepszy, niż illustracye n. p. niemieckie.

WP. J. Szafrański Moskwa: Odpowiedział Pan zupełnie warunkom konkursu.

WP. Sz. Hocherman Olkusz: Zwróciliśmy uwagę biur Ungra, które zajmuje się ekspedycyą Nowości na Królestw Polskie i Ces. Rosyjskie.

WP. J. S. Lwów: Zupełnie te same waruuki obowiązują teraz, jakie były ogłoszone w Nr 52.

WP. Jurczykowski, Warszawa: Błędy sprostowano.

WP. S. Kuczor, Podgórze: Należy używać tylko polskich wyrazów. Niewłaściwe skreślimy.



Z więzienia na estradę: Ksenia Bauerówna.

WP. Smolciński, Praga: Aby uniknąć ciągłych korespondencyi zaznaczamy, iż jedynym warunkiem co do nowoutworzonych wyrazów jest, aby były polskiego pochodzenia, rzeczowniki w przypadku pierwszym, czasowniki w bezokoliczniku? Do nadesłanych już wyrazów można odłączyć i drugą seryę.

WP. T. Marynowski, Ostrowiec: O początek powieści pro-



Zjazd koleżeński: Grono lekarzy, uczestników zjazdu w 30 lat po ukończeniu medycyny. Rząd górny: dr. Kopf; dr. W. Piaskiewicz; Prof. dr. W. Jaworski; radca dr. Ehers; dr. H. Sokołowski i dr. Bandrowski; rząd dolny: prof. dr. Barącz; st. lekarz. sztab. dr. Hordyński. dr. Pisek; Prof. dr. Gluziński; dr. J. Fleszar i dr. Sochański.

simy zwrócić się do biura Ungra w Warszawie. Kwit pocztowy wyst rczy O szarady prosimy.

WP. K. J. Sokołowski, Śniatyn: Mylki sprostowane.

WP. J. Kilpinowski, Kodłubajówka: Poświadczenie Ungra wystarcza.

WP. P. Łamacz, Goleniów: Błędy sprostowaliśmy.

WP. W. Nitowska, Czarny Ostrów: W dniu losowania może każdy z P. T. Prenumeratorow zaznaczyć nas swemi odwiedzinami, nie jest to jednak koniecznem.



Aresztowanie szpiega we Lwowie: Marceli Miłobędzki.

WP. Rybarski, Sebastopol: W Cesarstwie rosyjskiem rozsyła *Nowości* tylko biuro Ungra w Warszawie. Wysyłanie wprost z Krakowa jest ze względów cenzuralnych niedopuszczalne.

WP. Abiturus, Lwów: Mogą być i inne części mowy.

WP. S. T. Warszawa: Wyrazy obce, przyjęte jednak w mowie potocznej, są dopuszczalne. Słowo „łowić" nie odpowiada warunkom, gdyż litery ć w wyrazie brak. —

WP. T. Turlej, Włocławek: Owszem, list przeczytaliśmy i przyznaliśmy Panu prawo ubiegania się o nagrodę. Zadania arytmetycznego z powodu braku czasu nie rozwiązaliśmy. Moglibyśmy je umieścić, gdyby nam nadeszło rozwiązanie.

WP. M. Malinowska, Oświęcim: Wystarczy na korespondentce.

WP. S. A. Tabiński, Jastrzębia: Nie trzeba.

WP. B. Dulski, Obłoniec: Sprostowane.

WP. K. Gromska, Karłoszczyzna: Rozwiązanie dobre, Prenumeratorowie Ungra mają także prawo do wzięcia udziału w losowaniu. Początek powieści można otrzymać w biurze Ungra

P. T. Prenumerator Lwów: Wyrazy przez nas umieszczone w szaradzie są i obcego pochodzenia, gdyż mają one tylko ułatwić odgadnięcie szarady, co innego zaś stawanie do konkursu to już Redakcya może stawiać swoje warunki.

WP. S. Przepolski, Kraków: Rozwiązanie dobre. Nowe wyrazy można nadesłać wedle wskazówki, której udzieliliśmy p. A. Jezierskiemu.

WP. M. Kiewliczowa, Wiłkomierz: Prenumeratorzy z Cesarstwa Rosyjskiego, o ile im los dopisze, otrzymają nagrody przez biuro Ungra w Warszawie. Przyznaje się je przez losowanie.

WP. H. Matusewicz, Gabryelów: Omyłkę, jaka zaszła w pierwszym numerze ogłoszonej szaradzie sprostowaliśmy, poprawiliśmy też nadesłane błędne rozwiązanie.

WP. S. Zehnwirthówna, Szalowa i W. P. A. Grabowski Gródek: Każdy prenumerator może wziąć udział w losowaniu, o ile w dniu ciągnienia t. j. w lutym będzie miał zapłaconą przedpłatę do końca kwartału.

WP. A. Nencki, Boczek: Kupon z rozwiązaniem musi być koniecznie dołączony.

WP. Z. Rembaczówna, Lwów: Mogą być nie tylko rzeczowniki.

WP. Fr. Bib, Kraków: Takiej liczby podać nie potrafimy, zależy to od fantazyi odgadującego.

WP. F. Czalek, Karwina: Rozwiązanie nadeszło z błędami pod 1 37, 61 i 66 poprawiliśmy i uznajemy je za dobre.

WP. M. Waksmundzka, Jasło: Jednego wyrazu w kilku znaczeniach używać nie należy. Staropolskie wyrazy są dopuszczalne, prowincyonalizmy wykluczone.

WP. G. Andrzejewski, Płung'any: Uzyskaną ewentualnie nagrodę odebrać sobie będzie mógł każdy z P. T. Prenumeratorów z Królestwa Polskiego i Rosyi w biurze Ungra w Warszawie.

WP. A. Opatowski, Łódź: Sprostowano.

WP. K. Małecki, Dąbrówka: Dziękujemy za pamięć, z łaskawej jednak oferty nie możemy skorzystać, gdyż teka redakcyjna zaopatrzoną jest obficie tak w tłumaczenia, jak i oryginalne prace naszych autorów.

WP. A. Ciałowicz, Kalnica: Szarady i zagadki przyjmujemy z wdzięcznością.

WP. W. Giercuszkiewicz, Nowy Sącz: Wszystkie polskie wyrazy są dopuszczalne. Nazwiska osób nie powinny być używane, imiona można podawać. Polskie pseudonimy, o ile są znane, nie sprzeciwiają się warunkom konkursu.

WP. A. Gawlik, Lwów: Mogą być użyte wszystkie wyrazy polskiego pochodzenia, rzeczowniki w pierwszym przypadku, czasowniki w bezokoliczniku.

Zagadkowa postać.

W więzieniu sądu karnego we Lwowie znajduje się od kilku dni mężczyzna, aresztowany przez żandarmów w okolicy Zborowa pod zarzutem szpiegostwa. Jakie są poszlaki tej zbrodni, nie wiadomo, okrywa to bowiem tajemnica sądowa. Niewiadomo, jak człowiek ten się nazywa i skąd pochodzi, bo jest głuchoniemy, czy też takiego udaje. Nie jest on „piśmienny". Sprowadzony do niego nauczyciel zakładu głuchoniemych porozumiewał się



Zagadkowa postać: Nieznany głuchoniemy.

z nim na migi. Z tego, co dowiedział się nauczyciel, wnosić można, że nieznajomy liczy lat 67, urodził się gdzieś w pobliżu Węgier, w Galicyi, ma żonę i czworo dzieci, jeden syn ma służyć w wojsku jako podoficer. Nieznajomy twierdzi, że jest rzeźbiarzem samoukiem, wędrował po prowincyi i zarabiał po kościołach rzeźbiarką. Uciułał sobie z tego kilkaset koron które złodzieje ukradli mu w czasie snu. Nieznajomy jest porządnie ubrany. Sędzia śledczy p. Zgóralski ma wielki kłopot z tym więźniem, nie wie co to za jeden i skąd pochodzi.

Rozwiązanie zagadek z Nr 2.

Kwadrat magiczny: Pntyra
Szarada: Balladyna.
Zagadka do przestawienia: Jaki pan, taki kram.
Zagadka do przestawienia: Pokora przebija niebiosa
Logogryf: Podatek starokawalerski.
Arytmograf: Hamlet.
Łamigłówka literacka: Pigularz.
Zagadka: Karak.
Logogryf: Steinheil

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Gółkowa Chyrów, A. Binński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, K. Bojanowski Rzeszów, Z. Odzierzyński Koło, L. Szmagielski Kraków, J. Andrysikowa Niepołomice, M. Germanówna Lwów, C. Kozlowski Warszawa, A Bosoń Bóbrka, W Mondalski Dębniki, K. Fuchs Czeremchów, Z de Boulange Gawłowek, H. A. Krupecki Warszawa, W Brzozowski Lisko, B Grzesińska Kraków, S. Bielawski Kraków, J Wolski Kraków, M. Rogalska Zaleszczyki, J. Kinalski Kołomyja, F. Schmidt Stanisławów, R Gwozdecki Lwów, K. Lipowski Kraków, L. Ligęza Sandomierz, W. Ostrowski Rzeszów, G. Kwaśniewski Kołomyja, J. Bandrowski Radom, M Swirski Kraków, K. Krosiński Kołomyja, J. Lewicki Warszawa, A. Balicki Kołomyja, W. Drożdż Tarnów, S. Sokołowski Tarnopol, M Mochnacki Koło, L. Solecki Kraków, B. Wilczyński Tarnów. M. Kopytyńska Rzeszów. M. Rabska Kraków, K. Zajączkowski Podegrodzie, J. Horak Gródek, S. Iwański Olszanica, A. Bocheński Krosno, S Krzyszkowski Głogów, W. Robiński Poznań, W. Mayer Poznań, J Bróż Kraków, B. Namysłowska Warszawa, M. Kalinowska Kraków, J. Artwiański Kielce, W. Szymanowski Częstochowa, W. Thun Radomyśl, M. Krzyżanowski Przemyśl, K. Radoszewski Rzeszów, S. Lindenbaum Czerniowce, M Aleksiewicz Lwów, P. Roth Kraków, J. Safr Łódź, B. Latoszyńska Kraków, J. Lemański Kraków, F. Urban Kraków, M. Swidzińska Łódź, B. Michalec Wiśnicz. M. Planecka Kraków, M. Malinowska Oświęcim, F. Gebhardt Kraków, K Łopatyński Stanisławów, D. Engelberg Tarnobrzeg, S Obminska Warszawa, R Kratochwil Kraków, K. Bernatowicz Rzeszów, M. Linderski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **G. Kwaśniewski Kołomyja.** Uprzejmie prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Różne sposoby pojmowania.

Świnie oznaczają zawsze szczęście, rzekł do siebie automobilista i wjechał w sam środek pasącej się na błoniu gromady trzody chlewnej.

* *

W góry! w góry! miły bracie, tam swoboda czeka na cię — twierdził pan Taternicki, gdy go przewodnik ciągnął na linie na szczyt Zawratu.

* *

Dobroczynną jest moc ognia — pomyślał pan Rosenzweig, gdy mu w asekuracyi wypłacono odszkodowanie za spalony dom, który ubezpieczył powyżej wartości.

W starostwie.

— Panie radco dobrodzieju, jestem powszechnie szanowanym obywatelem, płacę regularnie podatki, nie naraziłem się nigdy wysokiemu rządowi, prosiłbym więc, aby pan radca wyrobił mi jakieś odznaczenie.

— Bardzo żałuję, ale nie mogę zadość uczynić pańskiej prośbie, gdyż pan niczem takiem się nie odznaczyłeś, coby zasługiwało na nagrodę. Na tej podstawie musielibyśmy ozdobić orderami wszystkich mieszkańców Krakowa...

— To może choćby jaki medal... n. p. wojenny!

— Przecież pan nie służyłeś nigdy w wojsku!

— Nie służyłem... to prawda... ale ja już od lat dziesięciu żyję z moją żoną na wojennej stopie.

W zapale urzędowania.

Policyant (do jeźdźca, który spadł z konia na gościńcu): Panie! wstawaj pan! To jest droga dla jeżdżących, nie do spaceru!..

Modna żona.

Mąż znalazł w rosole zwój włosów i dwie szpilki. Zirytowany zrobił piekielną awanturę, żona jednak pozostała zupełnie nieczułą... Gdy już ochłonął nieco, mówi doń zupełnie spokojnie:

— Co ty masz tu do gadania! Przecież mężczyzna nie ma pojęcia o gotowaniu!



MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

20 (Ciąg dalszy).

Szanse powodzenia były te same. I Lupin dla poznania tajemnicy zużył tylko dziesięć dni!

Jakież były te środki i te szanse? Ograniczały się one do znajomości tylko broszury, wydanej 1815 roku, którą Lupin znalazł bez wątpienia przypadkowo i dzięki której udało mu się odszukać w książce do nabożeństwa Maryi Antoniny niezbędny dokument. Broszura więc i dokument są to fundamenty, na których oparł się Lupin. Na nich zbudował cały gmach bez żadnej obcej pomocy. Zbadanie broszury i zbadanie dokumentu były całem dziełem. A czy Beautrelet nie może postąpić w ten sam sposób? Po co ta bezpożyteczna walka? Poco te daremne poszukiwania i badania ludzi, które mogą przynieść, choćby unikał starannie wszelkich zasadzek, tylko jak najgorszy rezultat?

Postanowienie jego było jasne i stanowcze i stosując się do niego, wchodził, jak przeczuwał, na dobrą drogę. Przedewszystkiem opuścił bez żadnych wyrzutów swego kolegę z liceum i przeniósł się na mieszkanie do małego hoteliku w środku Paryża. Nie wychodził z niego całymi dniami. Co najwyżej jadał w restauracyi hotelowej. Resztę czasu spędzał na rozmyślaniu w swym pokoju, zamknięty na klucz i z pospuszczanemi roletami w oknie.

„Dziesięć dni“ powiedział Arsenjusz Lupin. Beautrelet, starając się zapomnieć o wszystkiem, co dotąd uczynił i nie przypominając sobie nic innego, jak tylko treść broszury i dokumentu, pragnął gorąco nie przekroczyć tych dziesięciu dni. Minął jednak dzień jedenasty, przeszedł i dwunasty. Trzynastego dnia jakby światło jakieś oświeciło mu tę tajemnicę i szybko, z szalonym pośpiechem myśli, które rozwijają się w nas nagle jak cudowne rośliny, cała prawda jawiła mu się w głowie. Wieczorem tego trzynastego dnia nie znał jeszcze ani słowa tajemnicy, zdobył już jednak z wszelką pewnością metodę, która powinna doprowadzić do odkrycia, a której bez wątpienia użył i Lupin. Metoda ta była bardzo prosta i wypływała z tego tylko założenia: czy jest jaki związek między tymi wszystkimi mniej lub więcej ważnymi faktami historycznymi, z którymi broszura wiąże tajemnicę Igły Wydrążonej? Rozmaitość czyniła odpowiedź dość trudną. Po głębokiem jednak badaniu, jakiemu oddał się Beautrelet, doszedł on do wydobycia z tych wszystkich szczegółów zasadniczego ich charakteru. Wszystkie, bez wyjątku zdarzenia odbywały się w granicach dawnej Neustrie, odpowiadającej mniej więcej dzisiejszej Normandyi. Wszyscy bohaterowie tej fantastycznej awantury byli Normanami, lub przynajmniej tam działali.

Beautrelet zaczął sprawdzać fakty w historyi. Ten Roll, lub Rollon, posiadacz tajemnicy Igły, był pierwszym księciem normańskim. Wilhelm Zdobywca, król angielski, którego sztandar był zakończony na kształt Igdy, był również księciem Normandyi. W Rouen właśnie Anglicy spalili na stosie Joannę d'Aarc, znającą ten sekret. I na początku tych zdarzeń dowódzca, który za swój okup wydał Cezarowi tajemnicę Igły, był naczelnikiem ludu, żyjącego w granicach obecnej Normandyi, w samym jej środku w Caux.

Hypoteza nabiera większej wagi. Pole poszukiwań zacieśnia się. Rouen, brzegi Sekwany, kraj Caux... wszystkie drogi zmierzają w te strony. Jeżeli się weźmie pod uwagę królów francuskich, w czasie, gdy sekret został stracony dla książąt w Normandyi i ich następców, królów Anglii, a stał się własnością francuskiego domu królewskiego, ujrzymy, iż Henryk IV oblegał Rouen i wygrał walkę pod Arques, pod bramami Dieppe, a Franciszek I. założył Havre i wymówił te doniosłe słowa: „Królowie Francyi posiadają tajemnice, które kierują rzeczami i losami miast“.

Rouen, Dieppe, Havre... trzy kąty trójkątu, trzy wielkie miasta na trzech punktach, a w środku kraj Caux.

W XVII wieku Ludwik XIV pali książkę, w której nieznajomy wyjawił prawdę. Kapitan de Larbeyrie porywa jeden egzemplarz, korzysta z tajemnicy, zabiera pewną ilość kosztowności i napadnięty przez złoczyń ów umiera zamordowany. I w jakiem miejscu dokonano napadu? Gaillon! Gaillon, małe miasteczko położone na drodze wiodącej z Hawru. Rouen lub Dieppe do Paryża. W rok potem Ludwik XIV kupuje posiadłość i buduje zamek Iglasty. Jakie wybrał miejsce? Środek Francyi. W ten sposób ciekawi zostali wywiedzeni w pole. Nie szukają już w Normandyi.

Rouen... Dieppe... Havre... Trójkąt w Caux... Wszystko jest w nim... Z jednej strony morze. Z drugiej Sekwana. Z trzeciej doliny, prowadzące z Rouen do Dieppe.

Jakiś nowy błysk oświecił umysł Beautreleta. Ta przestrzeń, zawarta między brzegami Sekwany i kanału La Manche, jest zawsze terenem operacyi Arseniusza Lupina. Od dziesięciu lat w tych właśnie okolicach ciągle się pojawiał, jakby w środku tego kraju, tak ściśle związanego z legendą Igły Wydrążonej, miał swoje schronienie. Sprawa Barona Cahorn? Na brzegach Sekwany między Rouen i Havrem. Sprawa Thibermenil? Z drugiej strony między Rouen a Dieppe. Włamania Gruchet, Montigny, Crasville? W samym środku Caux.

Dokąd Lupin się udał, gdy został napadnięty i związany przez Piotra Onfrey, zabójcę z ulicy Lafontaine? Do Rouen.

Gdzie Sherlock Holmes, więzień Lupina, został wysadzony na jacht? Koło Havru.

A gdzie się rozegrał ostatni dramat? W Ambrumesy, na drodze z Havru do Dieppe.

Rouen, Dieppe, Havre, ciągle ten sam trójkąt.

Tak więc Arsenjusz Lupin, znalazłszy przed kilku laty tę broszurkę i dowiedziawszy się, gdzie Marya Antonina ukrywała ten dokument, dostał w swe ręce jej książkę do nabożeństwa. Posiadając ten dokument, wyruszył na poszukiwanie, znalazł i teraz tam się usadowił.

Beautrelet wyruszył również na poszukiwanie.

Wyjechał wzruszony, myśląc o podróży, której przed nim dokonał Lupin, przepełniony nadziejami, które żywił i Lupin, gdy szedł po odkrycie tajemnicy, dającej jej posiadaczowi tak wielką potęgę. Czy jego wysiłki zostaną uwieńczone takiem samem powodzeniem?

Pieszo, przebrany, z węzełkiem na kiju, opartym na ramieniu, opuścił rano Rouen, jak młody wyrobnik, poszukujący pracy. Poszedł wprost do Duclair, gdzie zjadł śniadanie. Po wyjściu z miasteczka trzymał się brzegów Sekwany i prawie jej nie opuszczał. Instynkt jego wspomnożony rozumowaniem, kierował go ciągle do krętych brzegów tej rzeki. Po złupieniu zamku Cahorn, Sekwaną wywieziono z niego zbiory. Po ograbieniu kaplicy, ku Sekwanie wysłano posągi. Możnaby przypuszczać, że między Rouen a Havre pełniła służbę cała flotylla statków, na których ekspedyowano bogactwa artystyczne kraju w strony amerykańskich milionerów.

Od miasteczka do miasteczka, od rzeki do morza Beautrelet węszył wszędzie, nadstawiając ciągle uszów, wszędzie szukając wyjaśnienia swej tajemnicy. Może w tem wzgórzu ukryta jest cała prawda? A może w tamtym lesie? Lub w domkach tej wioski? Może jakie nieznaczące słowo wieśniaka, spotkanego na drodze, doprowadzi go do celu?

Pewnego dnia odpoczywał w oberży koło starożytnego miasta Honfleur. Naprzeciw niego siedział jakiś normandzki handlarz koni o czerwonej twarzy, ubrany w długą bluzę i trzymając w ręku wielki bat. Po kilku chwilach wydało się Beautreletowi, że ten człowiek przygląda mu się z uwagą, jakby go znał, lub starał się przypomnieć go sobie.

— Eh! — pomyślał — mylę się, nigdy go nie widziałem, ani on mnie. W istocie człowiek ten zdawał się odtąd nie zajmować nim. Zapalił fajkę, zażądał kawy i koniaku i najspokojniej je wypił. Po skończeniu swego śniadania Beautrelet zapłacił i wstał. W chwili gdy miał wychodzić, weszła grupka ludzi, wskutek czego przez kilka sekund musiał się zatrzymać koło stołu handlarza koni. Usłyszał wypowiedziane szeptem słowa:

— Dzień dobry, panie Beautrelet.

Izydor nie wahał się. Siadł koło niego i rzekł:

— Tak, to ja... lecz pan kto jest? Jak mnie pan poznał?

— Dość łatwo... chociaż pana widziałem tylko sportretowanego w dziennikach. Pan jest źle, że tak powiem, zamaskowany.

Miał wyraźny akcent cudzoziemski i Beautrelet, przyglądając mu się, zdawał się dostrzegać na jego twarzy i całej postaci sztuczną maskę.

— Kto pan jest — powtórzył... — kto pan jest?

Nieznajomy uśmiechnął się:

— Pan mnie nie poznaje?

— Nie. Nigdy pana nie widziałem.

— Jak i ja pana. Niech pan sobie przypomni... I mój portret ukazuje się nierz w dziennikach... a nawet dość często... No i jakże?

— Nie wiem...

— Sherlock Holmes.

Spotkanie było dziwne, lecz zarazem i znaczące. Młody uczeń domyślił się odrazu wszystkiego. Po wymianie kilku banalnych grzeczności rzekł do Sherlocka:

— Przypuszczam, że jeżeli pan jest tutaj... to ze względu na niego?

— Tak...

— A więc pan sądzi, że możemy spodziewać się powodzenia... w tej stronie...

— Jestem tego pewny.

Radość, jakiej Beautrelet doznał, że Holmes jest tego zdania co i on, zmieszana była z pewnem niezadowoleniem. Jeżeli Anglik osiągnie ten cel, to zwycięstwo będzie podzielone, a nawet kto wie, czy nie osiągnie on go pierwej od niego?

— Ma pan jakie dowody? wskazówki?

— Niech się pan nie boi — roześmiał się Anglik, odgadując powody jego niepokoju — nie idę po pańskiej drodze. Pan, to jest dokument, broszura... rzeczy, które nie wzbudzają we mnie wielkiej ufności.

— A pan?

— Ja, nie to jestem.

— Czy dopuścił się niedyskrecyi?...

— Nie. Czy przypomina pan sobie historyę dyademu, historyę księcia Charmerace?

— Owszem.

— Czy pamięta pan Wiktoryę, starą mamkę Lupina, której mój przyjaciel Ganimard pozwolił umknąć w podstawionej karetce więziennej?

— Nie.

— Natrafiłem właśnie na ślad tej Wiktoryi. Mieszka w małej fermie, niedaleko od drogi narodowej nr. 25. Ta droga prowadzi z Havru do Lille. Przez Wiktoryę dojdę łatwo do Lupina.

— Wymaga to wiele czasu.

— Mniejsza z tem. Porzuciłem wszystkie inne sprawy. Oddałem się tylko tej. Między mną a Lupinem toczy się walka... walka na śmierć.

Słowa te wymówił z jakąś zaciekłością, w której czuło się nienawiść za doznane poniżenia, niena-

wiść przeciwko wrogowi, za wyprowadzenie w pole i wyszydzenie.

— Niech pan już idzie, szepnął... patrzą na nas... to niebezpieczne... Niech pan jednak pamięta me słowa: dzień, w którym ja i Lupin staniemy przeciw sobie, będzie tragicznym końcem naszej walki.

Beautrelet opuścił Holmesa zupełnie uspokojony, że nie ma potrzeby obawiać się, by Anglik wyprzedził go. Jaki jeszcze dowód przynosi mu to przypadkowe spotkanie! Droga z Hawru do Lille przechodzi przez Dieppe! Jest to główna droga w Caux! I właśnie w fermie, w pobliżu tej drogi, mieszka Wiktorya, czyli Lupin, ponieważ jeden nie chodzi bez drugiej, pan bez służącej, ślepo sobie oddanej.

— Jeżeli okoliczności dostarczają mi nowego potwierdzenia, mówił do siebie młody człowiek, to znaczy, że przypuszczenie me jest słuszne. Z jednej strony pewność najzupełniejsza co do brzegów Sekwany, z drugiej strony ta sama pewność co do drogi narodowej. I Sekwana i droga łączą się w Hawrze, mieście Franciszka I, mieście tajemnicy. Granice zacieśniają się. Caux nie jest wielkie, a przytem tylko zachodnią jego część muszę zbadać.

Z zapałem wziął się do pracy. „Jeżeli Lupin to znalazł, to niema racyi, bym ja tego nie znalazł“, nie przestawał powtarzać sobie Izydor. Lupin musiał mieć z pewnością jakąś wyższość nad nim, może znał doskonale całą okolicę, słyszał wszystkie legendy miejscowe, tymczasem Beautrelet nie wiedział nic, nie znał zupełnie kraju, raz tylko go przebiegał i to bardzo powierzchownie, z powodu włamania w Ambrumesy.

Nic to nie znaczy! Choćby miał poświęcić dziesięć lat swego życia na zdobycie tego, nie będzie ich żałował. Lupin był tam. Widział go. Odgadywał go. Oczekiwał na każdym zakręcie drogi, na skraju lasu, przy wyjściu z każdego miasteczka. I choć się ciągle zawodził, zawsze znajdował racyę, by upierać się przy swem mniemaniu.

Często siadał w przydrożnych rowach i zagłębiał się w badaniu kopii dokumentu, którą zawsze miał przy sobie z liczbami, zamienionemi już na samogłoski:

e. a. a.. e.. e.. a.. a..

a... e. e. . e. oi. e.. e.

. ou.. e. o... e. o.. e

D DF □ 19 F — 44 □ 357 □

ai. ui.. e .. e u. e

Często także kładł się według swego zwyczaju na wznak na trawie i całemi godzinami rozmyślał. Miał czas. Przyszłość należała do niego. Z dziwną cierpliwością przechodził od Sekwany do morza i od morza do Sekwany, to oddalając się stopniowo, to powracając znowu i nie opuszczając danego terenu, dopóki nie stwierdził, że tutaj nie zdobędzie żadnych wskazówek. Zbadał, zmierzył wzdłuż i wszerz Montivilliers, Saint Romain, Octeville, Gonneville, Criquetot. Wieczorami pukał do wieśniaków, prosząc ich o nocleg. Po obiedzie palono fajki i gawędzono. Prosił ich, by mu opowiadano miejscowe legendy, jakiemi skracali sobie długie zimowe wieczory. I zawsze powtarzało się to wieczne pytanie:

— A Igła? Legenda o Wydrążonej Igle... Nie znacie jej?

— Nie... nie słyszeliśmy takiej.

— Przypomnijcie sobie jakie opowiadanie starej kobiety... coś, gdzieby chodziło o Igłę... Może to będzie zaczarowana igła?...

Nic. Żadnej legendy, żadnej bajki! Na drugi dzień rano odchodził na dalsze poszukiwanie.

Pewnego dnia przeszedł przez miłe miasteczko Saint Jouin, wznoszące się nad morzem i spuścił się pomiędzy urwiste skały, ciągnące się wzdłuż morskiego brzegu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy i pionowy utworzą nazwisko niemieckiej prowincyi.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Bogini myśliwstwa. 3. Inaczej podanie. 4. Imię męskie. 5. Moneta pruska. 6. Olbrzym, znany z mitologii skandynawskiej, od którego ma pochodzić świat. 7. Przyimek. 8. Nazwa jednej z kart. 9. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko poety polskiego.

□
— □ —
— — □ — —
□ □ □ □ □ □ □
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Rodzaj poezyi. 3. Inaczej tatarka. 4. Szukany wyraz. 5. Rodzaj drzewa. 6. Rzeka w Europie. 7. Samogłoska

Zagadka.

Ułożyła K. Bartnikówna, Żarki.

Wprost jestem rzeką w Azyi znaną
A wspak postacią w biblii opisaną.

Arytmograf.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Cyfry zastąpić literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Środkowy rząd da imię i nazwisko hetmana polskiego.

1
2 3 4
1 5 6 7 5
11
10 2 1
8 2 1 7 6
18 4 7 16 5
9 6 12
5 6 8 5 6
7 13 17 5 4
14 13 10
7
4 5 6
15 16 2 11 16
10 16 5
7 6 8 5 6
7 6 1 5 2
4 5 4
2

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Znany japoński mąż stanu. 3. Miasteczko we Wschodniej Galicyi. 4. Spółgłoska. 5. Zwierzę z rodziny psów. 6. Rzeka w Polsce 7. Małe zagłębienie. 8. Miasto na Podolu. 9. Ptak. 10. Sprzęt domowy. 11. Owad. 12. Spółgłoska. 13. Rzeka w Rosyi. 14. Poeta niemiecki. 15. Inaczej lekarstwo. 16. Sprzęt. 17. Nazwisko jednego z słynnych arcybiskupów gnieźnieńskich. 18. Organ wzroku. 19. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył S. Danziger, Osiny.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzył imię i nazwisko króla polskiego.

— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Owad. 2. Imię męskie. 3. Miasto we Włoszech. 4. Inaczej komik, błazen. 5. Ptak. 6. Spółgłoska. 7. Po arabsku syn. 8. Sprzęt domowy. 9. Muzyk i pisarz polski. 10. Miasto w Królestwie Polskiem. 11. Okres czasu. 12. Spółgłoska.

Zagadka.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Snop, siew, sok, statek, sroka, sen, ski, sak, ser, sygnet, sowa.

Z podanych tutaj tobie słów
Po jednej bierz literce,
Otrzymasz męża, co był z mów,
I z kazań sławnym wielce.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Widz, o, o, rota, teza, Don, noc.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *St. Maciszewskiego*. **Ciernie.**